ŁOWIEC POLSKI



Za linią ... *rys. S. Rozwadowski.*

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 12 (961) **Grudzień — 1948 r.** **Cena zł 50**

Rok 50-ty wydawnictwa

DO KOLEGÓW AUTORÓW

W odezwie, zamieszczonej w zeszycie styczniowym br., Redakcja, dążąc do nadania pismu układu, któryby zapewnił należyte uwzględnienie wielorakich zadań, ciążących na urzędowym organie Związku, podzieliła je na następujące punkty główne:

A) 1) sprawozdania z działalności centralnych i terenowych organów Związku, 2) informacje o zarządzeniach władz w zakresie łowiectwa, 3) doniesienia o układzie stosunków łowiecko-myśliwskich w kraju, 4) artykuły fachowe z dziedziny łowiectwa i związanych z niem gałęzi wiedzy przyrodniczej, hodowlanej, strzeleckiej, 5) artykuły treści beletrystycznej, oparte o przeżycia i wspomnienia myśliwsko-łowieckie.

Zadania powyższe podaliśmy w kolejności ich wagi właściwej, jaką powinny one posiadać w układzie treści organu urzędowego P.Z.Ł. Rzeczywistość jednak wykazała, że pod naciskiem opinii czytelników, porządek ten został odwrócony i na czoło wybiła się beletrystyka. Godząc się z tym stanem rzeczy, Redakcja uważa jednak za swój obowiązek dążyć do pewnego wyrównania tej naruszonej kolejności i zapobieżenia przekształcenia „Łowca Polskiego" w miesięcznik literacki.

Posiadając w tece dużą ilość materiału zarówno beletrystycznego, jak fachowego, i pragnąc zużytkować go w sposób najpełniejszy. Redakcja zmuszona jest, przede wszystkim, ograniczyć wymiary poszczególnych prac.

Licząc się z tym, że normalny zeszyt „Łowca Polskiego" posiada 28 stron tekstu i że ilustracje zajmą 4 strony, pozostałe 24 strony Redakcja dzieli w równym stopniu pomiędzy trzy działy zasadnicze: 1) urzędowo-organizacyjny i informacyjny, 2) fachowy i 3) beletrystyczny, a więc po 8 stron na każdy dział.

Tych granic będziemy się starali ściśle przytrzymywać, a że „Łowiec Polski" nie może mieć charakteru monograficznego, zaś nie wolno nam uprzywilejowywać poszczególnych autorów, odwlekając ukazanie się prac innych, przeto zmuszeni jesteśmy postawić zasadę, iż **żaden utwór nie może przekraczać połowy normy przeznaczonej na dział tj. 4 stron druku**, (8 stron maszynopisu o 30 wierszach i 50 znakach pisarskich w wierszu).

Prace większe, szczególnie ważne, będą musiały być rozciągnięte na dwa czy więcej zeszytów, reszta zaś będzie skracana według uznania Redakcji lub też zwracana autorowi.

Przy sposobności ponawiamy prośbę, już parokrotnie wnoszoną:

1) aby nadsyłane artykuły były pisane na **maszynie** — rękopisów bowiem drukarnia nie przyjmuje — oraz na **jednej stronie**.

2) aby tekst drukowany był z **interliniami** tj. z odstępami pomiędzy wierszami, umożliwiającymi wprowadzenie poprawek redaktorskich, oraz z marginesami z boku do uwag dla drukarni.

Za artykuły umieszczone Redakcja uiszcza **honorarium** w wysokości 1.000 zł. za stronę (bez ilustracji), względnie po 10 zł. za wiersz jednoszpaltowy.

Za artykuły, które ze względów technicznych lub celowości przekroczą normę 4 stron tekstu— honorarium nie będzie uiszczane ponad maksymalną normę 4 stron, czyli ponad 4.000 zł.

Korespondencja, sprawozdania, wzmianki itp. nie są opłacane.

Redakcja.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie jednorazowe, zajmujące całą stronę okładki lub za tekstem, pobiera się 20.000 zł. za ¾ strony — 15.000 zł., za ½ strony—12.000 zł., za ¼ strony—8.000 zł., za ⅛ strony — 5.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne prywatne zwykłym drukiem — po 20 zł. za wyraz, grubszym drukiem — 30 zł. za wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%, jeżeli ogłoszenia są nadsyłane bezpośrednio do Administracji pisma.

Warunki prenumeraty

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili do **końca marca 1949 r.** składkę członkowską (1.200 zł.) do kasy lub na konto PKO **właściwej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej**, otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty.

Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczanych przez odnośne Rady Wojewódzkie co tydzień. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać Wojewódzkie Rady Łowieckie, dołączając 50 zł. na koszt sporządzenia nowej kliszy adresowej.

Inne osoby lub organizacje, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w PKO N I 1077 kwotę roczną 600 zł., bądź też po 60 zł. za jeden zeszyt.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 12 (961) 1 9 4 8 grudzień

Myśliwi polscy, zgrupowani w Polskim Związku Łowieckim, pozdrawiają w dniu Zjednoczenia Ruchu Robotniczego Polską Partię Robotniczą i Polską Partię Socjalistyczną, które, jako przodujące grupy Narodu w walce o demokrację oraz o wyzwolenie społeczne i narodowe, kładą wspólnym wysiłkiem niezniszczalne zręby Nowej Polski.

E. MYCIELSKI-TROIANOWSKI

NOSOROŻCE I JA

Afrykańskie wspomnienia.

Noc, cudowna tropikalna noc, która zawisła nad ziemią, miała się już ku końcowi. W górze, na kształt złotych gwoździ, lśnią jeszcze tysiące gwiazd. Księżyc, chyląc się ku ziemi, srebrzy toń rzeki, przy brzegach której rozbiłem obóz.

Z dala, wznosząc się ku niebu jak srebrna plama, widnieje potężny masyw Kilimandżara, osnuty mgłą jak przezroczystą gazą.

Obóz mój spał jeszcze i tylko przy gasnącym ognisku, podparty dzidą, stał wartownik. Dorzucał od czasu do czasu suche drewna i wtedy, na podobieństwo złotych robaczków, tysiące iskier wraz z dymem ulatywało ku niebu.

Ludzie, stanowiący mą karawanę, poowijani w kołdry, zmęczeni długim marszem dnia poprzedniego, otoczywszy ogniska, zalegali jeszcze w głębokim śnie.

Od rzeki dochodziły nas chrapliwe głosy hipopotamów; czasami ptak jakiś przeleciał nad obozem, dziwnie kwiląc. Ze stepu, otaczającego lasek akacjowy, w którym spędzamy noc, dochodzi przeraźliwe wycie hien, podobne niekiedy do śmiechu i przerywane od czasu do czasu przeciągłym ujadaniem, zawsze głodnych szakali. Wszystkie te odgłosy milkną jednak i cisza nastaje grobowa z chwilą, gdy potężny ryk lwa, doniosły i silny, a mimo to, jakby pochodził z podziemi, przenika nocną ciszę.

Wreszcie nastaje tak upragniony świt. W jednej nieomal chwili słońce snopami złotych promieni pokrywa wierzchołki gór, które poczynają się palić jak gigantyczne pochodnie lub lśnią barwą drogocennych kamieni.

Na stokach i w dolinach, w których mrok jeszcze panuje, pokryte rosą, drzemią cicho lasy akacji, palm i chlebowców, osnute ljanami, których kwiaty wydają nocą przecudny zapach.

W towarzystwie mego strzelca Abduli, młodego Somalisa, i jednego Indusa, który miał nam służyć za przewodnika, opuściliśmy obóz.

Dzień zapowiadał się prześliczny, co dodatnio oddziaływało na humor i w serce wlewało otuchę, tym więcej, że w ostatnich tygodniach, spędzonych na wysokich płaskowzgórzach Centralnej Afryki, nieustannie prześladowały nas ulewne deszcze. Dość dziwne to było zjawisko, albowiem był to dopiero początek marca i na wielką porę deszczową, tak zwaną Massikę, było jeszcze za wcześnie.

Dążąc początkowo wzdłuż niewielkiego strumienia, który wśród urwisk i skał krętą biegł linią, zeszliśmy w dolinę, porośniętą wysoką trawą. Słońce nie zdążyło jeszcze osuszyć rosy zimnej jak lód, od której lekkie moje płócienne ubranie w jednej chwili przemokło zupełnie.

Na stokach, gdzie niższa rosła trawa, kwitły całymi bukietami czerwone lilie, które po pierwszych deszczach zbudziły się z letargu i w ciągu paru dni, gdy sucha minęła pora, przepysznym jaśniały już kwieciem.

Całe stada ptaków, podobnych do naszych szpaków, lśniąc w słońcu najpiękniejszymi barwami szafiru, przelatywały nad głowami.

W miarę posuwania się naprzód droga, stale wznosząc się w górę, stawała się coraz więcej uciążliwa i wiodła wśród złomów skalistych, gęstym porośniętych lasem. Typowy busz afrykański — zbity i splątany ljanami o krzywych i ostrych jak kocie pazury kolcach.

Przedzieraliśmy się już dobrą godzinę przez ten niegościnny las, nie spotykając nawet śladów grubszego zwierza, wreszcie doszliśmy do głębokiego łożyska rzeki, w obecnej porze nieomal zupełnie suchego.

Miejscami jedynie, i to w dość dużych odstępach, w których drzewa i krzewy nadbrzeżne zwarty rzucały cień, sączyło się trochę wody, którą z rozkoszą gasiliśmy dokuczliwe pragnienie.

W takich miejscach widniały również na miałkim piasku odciski licznych śladów antylop.

Wąwóz ten obierając sobie za drogę, mogliśmy postępować znacznie swobodniej, uważnie przy tym badając ślady, z których najświeższe pochodziły od Greater Kudu (Strepsiceros capensis), jednej z największych i najpiękniejszych afrykańskich antylop.

W miejscach, gdzie dno wąwozu stanowiła jednolita opoka kamienna, ślady stawały się niewidoczne; odnajdywaliśmy je jednakże niebawem na najbliższych piaszczystych ławicach. Po pewnym czasie ślady skręciły na stok górski. Widocznie antylopy, zaspokoiwszy pragnienie, wolały opuścić łożysko rzeczki, bowiem na stromych jej brzegach często bardzo czyhają lwy i pantery. Śledząc dalej, weszliśmy w gąszcz, w którym coraz trudniej było odnaleźć ślady, poniekąd więc szliśmy już na los szczęścia.

Indus, który nam towarzyszył, nie spuszczał ani na chwilę wzroku z ziemi, wskazując od czasu do czasu połamane trawy, które miały świadczyć, że tamtędy przechodziły antylopy.

Upał i pragnienie coraz więcej poczęło się nam dawać we znaki. Słońce, zbliżając się do zenitu, zdawało się sypać żar całymi potokami, a najmniejszy podmuch wiatru nie orzeźwiał tej prawdziwie tropikalnej atmosfery. Jedynie żądza zdobycia najpiękniejszego z trofeów myśliwskich dodawała sił i otuchy.

Wyprzedziwszy mych towarzyszy, których zapał słabł widocznie, i nie zwracając więcej uwagi na ślady, szedłem na przedzie naszej maleńkiej karawany. Czułem coraz wyraźniej pulsowanie krwi w skroniach, a myśl bez przerwy poczęła krążyć koło doskonałości, jaką jest duży kubek wody, którego, niestety, nie posiadałem.

Nie zbaczając z obranego raz kierunku, szedłem wciąż naprzód, wzrokiem starając się przeniknąć otaczający nas gąszcz. W czasie kiedy już zwątpienie poczęło opanowywać zmęczony umysł, w odległości zaledwie kilkudziesięciu kroków spostrzegłem stojące w ukryciu krzewów ljan ogromne zwierzę.

Spojrzenie przez lornetkę i zatrzymanie ruchem ręki mych ludzi, było jedną chwilą, a mimo to nie zdążyłem strzelić. Ostrożna, o wspaniałych rogach, antylopa Kudu, w potężnym skoku zniknęła w zaroślach, które udaremniły możliwość celnego strzału.

Niepowodzenie to w dużej mierze zawdzięczam memu Indusowi, który nie zrozumiał czy też nie spostrzegł mego ruchu, danego ręką i nakazującego w takich wypadkach natychmiastowe zatrzymanie się. Szedł dalej, spłoszył zwierzę, a mnie pozbawił możności zdobycia przepysznych rogów.

Spiorunowawszy Indusa wzrokiem, nie tracąc ani chwili czasu, już tylko z samym Abdulem, pośpiesznym krokiem szliśmy w kierunku, w którym straciliśmy z oczu antylopę, nie tracąc nadziei, że może jeszcze raz uda się nam ją spotkać,. Indus smutny szedł o kilkanaście kroków z tyłu za nami.

Goniąc resztkami sił, jednakże podnieceni spotkaniem, szliśmy, przedzierając się wśród olbrzymich złomów kamiennych, porozrzucanych chaotycznie, jak gdyby nadprzyrodzoną siłą cyklopów. Niekiedy trzeba było pełznąć jak wąż, by się przedostać przez zapory, jakie nam dziewicza puszcza stawiała na drodze.

Przedostawanie się przez dżunglę nie jest zgoła rzeczą łatwą i przyjemną. Gdy się Murzyn w podobnej znajdzie sytuacji, nie namyślając się długo, całą swą garderobę, składającą się zazwyczaj z dziurawej, bawełnianej koszuli i takiegoż, sięgającego do kolan, dalszego ciągu, zwija czym prędzej w kłębek, który pakuje pod pachę i daje nurka w największy, najeżony kolcami gąszcz, z którego wychodzi najwyżej z długimi, szarymi kreskami na czarnej, elastycznej i świecącej skórze.

Całkiem inaczej w takich kłujących wypadkach powodzi się białemu człowiekowi. Pewnego razu, będąc jeszcze niezbyt doświadczonym afrykańczykiem, wyszedłem z obozu na króciutkie polowanie na perlice, które spacerowały całymi stadami w pobliskim gąszczyku.

Przez pewien czas skradałem się, wypatrując 2—3 sztuki razem, któreby miały polec od jednego strzału, albowiem szkoda jest drogich nabojów na tak nikczemną, aczkolwiek smaczną zwierzynę, a przy tym nie należy w puszczy zbyt wiele i niepotrzebnie hałasować.

Tak sobie wesoło wędrując w odległości najwyżej kilkuset kroków od obozu, ujrzałem raptem ślady 6 słoni, o czym świadczyły połamane gałęzie, stratowane krzewy, no i nawóz zupełnie jeszcze świeży, nawet ciepły. Zapewniał mnie o tym mój czarny strzelec, który, nie opuszczając ani jednej okazji, wkładał w niego swój wielki palec od prawej nogi. Uśmiechał się przy tym tak rozkosznie, że widać było trzonowe zęby i za każdym razem cicho szeptał: „Msuri sana".

Wszystko to potęgowało do tego stopnia mój zapał myśliwski, że nie zważając na to, że jestem tylko od dołu odpowiednio ubrany, a dalszy ciąg stanowi lekka siatkowa koszula, zamieniwszy strzelbę śrutową na sztucer, niezwłocznie puściłem się w pogoń. Słonie szły na spacer przez ciernie i gąszcze niby nasze sarenki przez łąki, porośnięte miękką trawką. Ja zaś po godzinie, pożal się Boże, posiadałem już tylko jeden guzik, który podtrzymywał na szyi fragmenty kołnierzyka, a na rękach kawałki mankietów. Reszta pozostała na krzakach, jako chustki do nosa dla młodych szakali.

Po dłuższej, niezmiernie męczącej wędrówce, ujrzeliśmy przed sobą wąwóz o stromych i wysokich ka-



Z polowań w Stulsku *fot. O. Bruckmann*

miennych stokach, zrzadka pojedynczymi porośnięty krzewami.

Widząc przed sobą wolniejszą drogę, odetchnąłem swobodniej i nie namyślając się ani chwili, kroki swe skierowałem w stronę wąwozu. Za mną, w odległości kilku metrów, szedł Abdula, a dalej ze spuszczoną głową wlókł się Indus, przeżuwając smutną myśl, że mało już jest zapewne szans na „bakszisz", który sahib obiecał ,gdy się polowanie powiedzie.

Zaledwie jednakże uszedłem kilkadziesiąt kroków i gdy znalazłem się w miejscu, gdzie po obu stronach wznosiły się wysokie skały, a szerokość zaledwie kilka wynosiła metrów, rozległ się tętent, tak, jakby duże stado, spłoszone naszą obecnością, uciekało w popłochu. Dwa ogromne nosorożce, minąwszy zakręt, w szalonym pędzie wybiegły wprost na mnie.

Pierwszy mój strzał z przyrzutu, chybił. Odległość w chwili, gdym ujrzał nosorożce, nie wielka, bo zaledwie wynosząca kilkadziesiąt kroków, zmniejszała się z błyskawiczną szybkością. Po drugim strzale, danym już na bardzo bliską odległość, pędzący na przedzie nosorożec, trafiony widocznie w głowę, zachwiał się i skręcając w bok cały swój potężny tułów, przytrzymał w impecie swego towarzysza. Mimo to na trzeci strzał nie było już czasu. Śmierć stanęła mi przed oczyma i wtedy to rozpaczliwym ruchem i nieludzkim wysiłkiem, schwyciwszy się ręką za gałęź rozłożystej akacji tuż obok rosnącej, uniosłem się w górę, nie zważając na straszne kolce wbijające się w ręce.

Nosorożce, ocierając się nieomal o mnie, jak furie minęły zbawcze drzewo i wydostawszy się z wąwozu, za pierwszym zakrętem zginęły mi z oczu.

Lewą rękę i bok cały, z którego obficie płynęła krew, miałem bardzo pokłuty. Mimo to pełen ulgi, odetchnąłem swobodniej, mając już poza sobą to czwarte w życiu tak bliskie z nosorożcami spotkanie.

Poczciwy Abdula, widząc, że niebezpieczeństwo minęło, i że powtórne z nosorożcami nie grozi już spotkanie, pomógł mi wyjmować kolce, niektóre na parę centymetrów długie i zakrzywione jak kocie pazury.

Operacja wyjmowania kolców była bardzo bolesna, a pomimo że i pragnienie coraz więcej dokuczało, po krótkim odpoczynku, pocierając sobie zbolałe członki, ruszyliśmy w ślad za postrzałkiem.

Ślady odnaleźliśmy niebawem. Znaczyły je krople krwi, obficie padające na ziemię i na liście krzewów, obok których przechodziły nosorożce.

Nie zważając na szalony upał i zapomniawszy chwilowo o pragnieniu i głodzie, szliśmy możliwie szybkim krokiem, badając jednakże bardzo uważnie przy pomocy szkieł najbliższą okolicę, a szczególniej zarośla, by nie narazić się na zbyt bliskie spotkanie z rannym nosorożcem, co w tych warunkach wytwarza sytuację nie do pozazdroszczenia.

Tymczasem uszedłszy znaczny kawał drogi, trafiliśmy na miejsce, gdzie zwierzęta wypoczywały. Znaczyła je wielka obfitość krwi, połączonej z pianą, co dawało do myślenia, że kula, oślizgnąwszy się po bardzo grubych kościach, osłaniających mózg, przeniknęła do klatki piersiowej, raniąc płuca. W każdym razie, sądząc z utraty krwi, biedny nosorożec, będąc śmiertelnie ranny, gonił resztkami sił.

I znowu upłynęło parę chwil. Ponownie znaleźliśmy miejsce odpoczynku, jeszcze większym upływem krwi oznaczone.

Gdy dąży się śladami rannego zwierza i kiedy zbliża się chwila, w której lada moment spodziewać się można spotkania, napięcie nerwów dochodzi do zenitu. Natężenie wzroku, słuchu, nawet powonienia, posunięte jest wtedy do maksimum. Chwil takich nie jest się w stanie opisać. Zna je jedynie dobrze myśliwy, tropiący w gąszczu tak niebezpieczne zwierzęta jak lwy, słonie, bawoły lub nosorożce. Jest to gra szalenie emocjonująca, o stawce bardzo wysokiej, szczególniej gdy zwierz jest ranny. Gra, kończąca się, niestety, zbyt często przegraną. Wiedzą o tem dobrze afrykańskie stepy i lasy.

Chwile mijały. Ślady znaczone krwią były ciągle doskonale widoczne. Zatrzymałem się, by przez lornetkę

ponownie przejrzeć okolicę, gdy najniespodziewaniej spostrzegłem o kilkadziesiąt kroków w bok ode mnie stojącego nosorożca.

Na szczęście wiał wtedy lekki wiaterek w moją stronę, co ułatwiało podejście na bardzo bliski dystans. Zwierz stał spokojnie tyłem do mnie zwrócony. Będąc przekonany, że mam przed sobą mego rannego przyjaciela, któremu już się nie wiele należało, postanowiłem przeciąć pasmo jego życia i skrócić męki kulą w krzyż. Jest to strzał bardzo trudny i z wielką precyzją musi być wymierzony.

W chwilę po strzale, który niedalekie góry echem powtórzyły, po potężnym ciele zwierzęcia przeszły jak gdyby drgawki, chwilę stał jeszcze spokojnie, po czym powoli podwijając pod siebie nogi, tak jakby układał się do snu, upadł na ziemię i zastygł w bezruchu.

Podszedłem bliżej, ażeby z boku, strzałem w głowę, o ile okazałaby się potrzeba, dobić rannego nosorożca. Strzał był już zupełnie zbyteczny.

Oglądając dokładnie zabitą sztukę, na próżno poszukiwaliśmy rany, z której tak obficie sączyła się krew, i której ślady nas tu przywiodły. Na głowie i całej przedniej części korpusu nie było oznak najmniejszego nawet zadraśnięcia, co w końcu upewniło mnie, że leżący przed nami nosorożec jeszcze przed chwilą był pełny sił i zdrowia.

Martwego nosorożca pokryliśmy gałęziami, ażeby go zabezpieczyć przed wzrokiem chciwych sępów i marabutów. Porobiliśmy na znacznej przestrzeni na drzewach nacięcia., przymocowując jednocześnie do gałęzi kawałeczki papieru, co znakomicie ułatwiało odszukanie miejsca, w którym pozostawiono zabitą sztukę, po czym należało pomyśleć o odnalezieniu pierwszego rannego nosorożca, a właściwie śladów krwi, któreśmy niebacznie opuścili.

Rozeszliśmy się każdy w inną stronę, ufni w swój talent myśliwski i szczęście. Bohaterem chwili okazał się nasz Indus.

Donośnym gwizdaniem przywołał nas, wskazując odnalezione przez siebie miejsce, gdzie ponownie zatrzymały się i odpoczywały nosorożce.

Na dużej przestrzeni trawa i krzewy były literalnie pokryte pianą i krwią, Z tego miejsca ślady prowadziły w kierunku łożyska małego i zupełnie suchego strumyka, brzegi którego gęsto pokryte były roślinnością.

Nie miałem wielkiej ochoty spotykać się w tych warunkach i otoczeniu z rannym, aczkolwiek już bardzo chorym nosorożcem, tym więcej, że znałem z własnego doświadczenia niebywałą żywotność zwierząt afrykańskich, które śmiertelnie ranne, potrafią pomścić się jeszcze na wrogu. Postanowiłem zatem obejść gęstwinę i po drugiej stronie rzeczki odszukać ślady.

Abdula i Indus, z chwilą gdy się znajdę na przeciwległym stoku, mieli, srodze hałasując, przejść przez gęstwinę i połączyć się ze mną.

Gdym się przedostał przez gąszcze, znalazłem się na niewielkiej polance, na środku której pod rozłożystym drzewem ujrzałem dwa nosorożce, z których jeden leżał już martwy.

Ten, który stał, był młodą, dobrze wyrośniętą sztuką o niewielkim rogu. Szkoda więc było go zabijać.

Celem odstraszenia biednej sieroty, przywołałem Abdulę, i dając mu sztucer, kazałem strzelić w górę. Abdula miał zwyczaj w decydującej chwili zamykać oczy, to też po strzale, nosorożec podniósłszy figlarną imitację swego ogonka, z charakterystycznym sapaniem, co tchu powędrował w daleki świat, z myślą zapewne, by się już więcej, o ile można, z ludźmi nie spotykać.

Indus zaopatrzony w moje przebaczenie i błogosławieństwo, pozostał na straży. Ja z Abdulem pośpiesznie wracaliśmy do obozu, gdzie nas oczekiwał dobrze zasłużony odpoczynek i woda, nade wszystko woda!

Późnym wieczorem, kilku ludzi wysłanych z obozu, przyniosło rogi oraz ozory, które po czterdziestogodzinnym gotowaniu stają się przysmakiem, o którym biedni mieszkańcy Europy wyobrażenia nie mają.

Było to ostatnie moje polowanie na afrykańskiej ziemi, którą w parę dni później żegnałem z myślą, że do niej powrócę, albowiem powiedziane jest, że kto się raz wody z Nilu napije, ten do niego powróci...

A ja nie tylko piłem, ale się w Nilu topiłem.

E. Mycielski-Troianowski.

L. PAC POMARNACKI.

POLOWANIA Z AMBON MYŚLIWSKICH

Polowania z ambon nie były u nas zbyt rozpowszechnione. Spotykało się z nimi tylko w niektórych dzielnicach kraju, obfitujących w grubego zwierza, lecz i tam nie zawsze ten sposób łowów bywał stosowany, gdyż bądź co bądź jest nużący i dość monotonny.

W ostatnich jednak latach przed wojną, w związku ze znacznym powiększeniem się zwierzostanów i wzrastającymi z tego powodu szkodami w płodach rolnych, właściciele łowisk coraz częściej hodowali zwierzynę w ogrodzonych zwierzyńcach, w których urządzanie polowań nagankowych stawało się bardzo szkodliwe, gdyż pędzone ustawicznie w różnych kierunkach jedne i te same sztuki, ginęły z przemęczenia na zapalenie płuc, o ile wypadkowo ominęła je kula strzelca.

W związku z powyższym łowy z ambon, inaczej zwanych czatowniami myśliwskimi, nabierały coraz większego znaczenia i na wyżej wspomnianych terenach stały się, obok podjazdu, jedynym nieraz sposobem zdobycia trofeum. Również i w łowiskach otwartych spotkać je dziś można dość często, zwłaszcza, że są bardziej wygodne od wszelkich innych łowów, a tym samym dostępniejsze dla osób starszych lub chorych.

Z ambon poluje się u nas na liczne gatunki zwierzyny, a mianowicie na: niedźwiedzie, wilki, lisy, dziki, łosie, jelenie, rogacze, daniele, niekiedy nawet na rysie. W łowiskach, obfitujących w zwierzynę, zdarzają się nieraz okazje strzelania w ciągu jednej nocy do paru rodzajów zwierzyny, o ile czatownia jest dobrze umieszczoną.

Z powodu braku miejsca nie będę tu omawiał sposobów budowania ambon, gdyż rodzaje ich są bardzo

rozmaite i podanie najbardziej nawet skróconych wskazówek wymagałoby osobnej pracy, przekraczającej ramy krótkiego artykułu. Zainteresowanych odsyłam do Kalendarza Myśliwskiego na rok 1931, w którym znajdą potrzebne informacje.

Zastanowić się jednak pragnę nad miejscem umieszczenia czatowni, które zasadniczo są dwóch typów:



Ambona w Spale
fot. L. Pac-Pomarnacki

1) odkryte, tj. budowane w kształcie domku na 4 słupach i 2) zamaskowane, tj. ustawione w koronie jakiegoś drzewa. W zależności od tego, na jaką zwierzynę mamy zamiar polować, ambona musi być inaczej postawiona.

Na niedźwiedzie dziś już się u nas nie poluje, gdyż nie mamy w Polsce tej zwierzyny. Przypomnieć jednak należy, jak się takie łowy z ambon odbywały. Można było czatować w dwojaki sposób: urządzić zamaskowaną czatownię na małej polance w głębi lasu i położyć padlinę celem znęcenia zwierza; gdy się stwierdziło, że niedźwiedź już ją odwiedza — wówczas rozpoczynało się czaty, albo też, znalazłszy wypadkowo rozdartą łanię lub byka, sporządzało się prymitywną czatownię na pobliskim drzewie i czekało, aż drapieżnik powróci do przerwanej uczty.

W pierwszym wypadku, tj., gdy urządzało się stałą ambonę i zakładało przy niej przynętę — trzeba było pamiętać o tym, by ten schron myśliwski był dobrze ukryty w gałęziach, najlepiej jodły czy świerka, lecz posiadał jak najlepsze pole widzenia, gdyż niedźwiedź przychodził do padliny najczęściej głuchą nocą i wyłonić się mógł z każdej strony. Myśliwy zatem powinien był obejmować wzrokiem możliwie dużą przestrzeń polany. Na przynętę używać należało tusz końskich, tam zaś, gdzie drapieżnik ten zabijał często pasące się bydło domowe lub jelenie — najlepszą przynętę stanowiły resztki tych właśnie gatunków. Polując w ten sposób osiągało się dobre rezultaty w okresie zimy lub na wiosnę. W innych porach roku niedźwiedź mniej chętnie szedł na sztuczną przynętę, chyba, że znalazło się rozdartą przezeń sztukę, wówczas opłacało się urządzić czaty.

W górach — czekając na niedźwiedzia — można było mieć na strzał wilka, dzika, czasami nawet rysia, gdyż zwierzęta te — oprócz rysia — również nie gardzą padliną, zwłaszcza w głodowym czasie śniegów i mrozów. Sztucznie zakładane tusze trzeba było jednak umocować do wbitych w ziemię mocnych pali, gdyż niedźwiedź lubił niekiedy wlec przynętę w gąszcz i tam dopiero spożywać, pozbawiając myśliwego okazji strzału. Czynił to zazwyczaj w ciągu pierwszych swoich wizyt w danym miejscu albo wówczas, gdy miał pewne podejrzenia.

A o podejrzenia nie było trudno. Jeżeli bowiem zbudowaliśmy najbardziej nawet wysoką czatownię, to jednak przy sprzyjającym wietrze, schodzący po stoku górskim miś, mógł znaleźć się na jednym poziomie z amboną i zwęszyć myśliwego.

Zaznaczyć też muszę, że zbliżał się on nadzwyczaj cicho i nagle jak widmo ukazywał swą ciemną sylwetkę na jaśniejszej plamie zaśnieżonej polanki, toteż łowiec musiał siedzieć spokojnie, unikać gwałtownych ruchów i pilnie uważać na każdy najdrobniejszy nawet szmer.

Na wilki urządza się ambonę również zamaskowaną wysoko na drzewie, jednak nie należy podawać przynęty w głębi lasów, tylko gdzieś na ich skraju, w pobliżu dróg leśnych, a nawet w niedużej odległości od zabudowań. W tym celu wykorzystywać trzeba tzw. „cmentarzyska zwierzęce", gdzie zwykle wyrzuca się wszelką padlinę. Wilki doskonale znają takie miejsca i często je odwiedzają. Do owych cmentarzysk zbliżają się zwykle znacznie śmielej niż do tuszy, leżącej w nowym miejscu. Są one jednak również bardzo ostrożne i zanim zdecydują się na podejście — krążą zwykle dookoła i pilnie wietrzą. Zjawiają się zazwyczaj po nastaniu kompletnych ciemności, gdzieś około północy. Najlepsze rezultaty osiąga się przy tych łowach w okresie zimowym.

Zdarza się bardzo często, że pierwszym gościem przy padlinie bywa lis Otóż jeżeli nie jesteśmy pewni czy wilki przyjdą, zwłaszcza, gdy nocy uprzednich obecność ich nie została stwierdzona, należy, rzecz prosta, zadowolić się i taką zdobyczą. Mając jednak niepłonną nadzieję, że dzisiaj spotkamy się z wilkami, lepiej jest nie strzelać, gdyż drapieżniki te ,widząc żerującego spokojnie lisa — śmielej zbliżają się do przynęty, ufne, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo. Lis naturalnie zaraz umyka, lecz mamy często możność zrobienia dubleta do wilków, noszących w tym czasie piękne, siwe i puszyste futra, znaczone na grzbiecie ciemnymi pasami, nadające się wyśmienicie na tzw. dywany myśliwskie.

Zaznaczyć też muszę, że im bliżej zabudowań znajduje się ambona, tym mniej możemy zachowywać ostrożności przy zasiadaniu na czaty, gdyż wonie płynące z podwórza i chlewów neutralizują zapach człowieka i wilki odnoszą się do niego mniej podejrzliwie. Natomiast gdzieś w lesie lub w pustym polu, niezastosowanie podanych na końcu niniejszego artykułu zaleceń i wskazówek, może zepsuć całe polowanie i narazić na bezowocne wyczekiwanie w ciągu długich godzin przy wietrze i mrozie, co stanowi nieraz istne tortury.

O polowaniu na lisy nie będę obszerniej wspominał, gdyż nie różni się ono zasadniczo od czatów na wilki czy niedźwiedzie. Lis stanowi miłe urozmaicenie nużących swą monotonnością całonocnych wyczekiwań,

jednak specjalnie na niego rzadko się poluje, a łowy takie są zwykle połączone z czatami na grubszą zwierzynę: wilki albo dziki. W przeciwieństwie do innego zwierza— lis odwiedza często przynętę wczesnym rankiem lub o zachodzie, a w miejscach odludnych przychodzi nawet w biały dzień.

Jeżeli chodzi o **dziki**, to ambony należy stawiać na skraju pólek, zagubionych w głębi lasów albo też w pobliżu gruntów, obsianych owsem lub zagonów ziemniaczanych, na których stwierdzimy ślady buchtowania. Dziki są mniej ostrożne od innych rodzajów zwierzyny i dlatego nie obawiają się nawet odkrytej czatowni, ustawionej na wysokich palach w środku pola, o ile tylko zdążyły już przyzwyczaić się do jej widoku. Na żer wychodzą zwykle o zmierzchu i zachowują się bardzo hałaśliwie, tak że z dala można je usłyszeć. Jedynie stare odyńce są bardzo czujne, przychodzą cicho i dopiero obrywanie kiści owsa czy też cmokanie przy zjadaniu ziemniaków, zdradzają ich obecność.

Można też zakładać przynętę przy stałej ambonie w lesie. Dziki prędko się przyzwyczajają do tego miejsca i o ile nie są płoszone — stale je odwiedzają. W ciągu lata i jesieni podawać trzeba ziemniaki, buraki pastewne oraz marchew; w zimie dodawać tusze końskie i groch. W okresie polowań na czarnej stopie, przynętę należy szeroko rozrzucać dookoła czatowni, by zapobiec skupianiu się pojedyńczych okazów, co utrudnia wybór odpowiedniej sztuki i strzał. W zimie marchew, kartofle czy buraki lepiej jest podawać w płytkich korytach, ustawionych zdala jedno od drugiego, dzięki czemu unikamy marnowania przynęty zagubionej w zaspach w okresie śnieżycy lub zadymki.

Zdarza się czasami, że dziki odkryją kopiec z kartoflami i codziennie go odwiedzają. W takim wypadku łowy udają się prawie w stu procentach, gdyż po parudniowej przerwie, spowodowanej zabiciem jednej sztuki, reszta stada przybywa znowu, składając i tym razem krwawy haracz. Powtarza się to nieraz kilkakrotnie, aż wreszcie spłoszona wataha wyniesie się zupełnie z danej okolicy.

Na **jelenie, daniele** i **rogacze** poluje się w podobny sposób jak i na dziki, zakładając przynętę w pobliżu stałej ambony, która jednak powinna być zamaskowana i ustawiona wysoko nad powierzchnią ziemi. Najodpowiedniejszym miejscem do urządzenia czatowni są rozłożyste drzewa, rosnące na środku polany albo skraj lasu, przylegający do polan, możliwie dzikich i oddalonych od osiedli ludzkich lub uczęszczanych dróg. Jako przynętę rozrzuca się marchew, buraki, owies w snopkach, dobrze jest założyć koło ambony pólko łowieckie, obsiane seradelą, koniczyną, jarmużem czy kapustą pastewną, na które zwierzyna płowa lubi wieczorami wychodzić. Pierwsze zwykle zjawiają się sarny — które w miejscach odludnych żerują nawet przed zachodem słońca. Nieco później ukazują się daniele — zaś jelenie wyłaniają się z lasu cichutko jak widma, dopiero po nastaniu mroku. O ile w pobliżu czatowni rozprzestrzeniają się jeszcze obszary gęstych kultur leśnych, w których zwierzyna chętnie obiera ostoję, to upragnione spotkanie bynajmniej do rzadkich nie należy i zasiadając na czaty, mamy wiele szans zdobycia dobrego trofeum.

Nawet w okresie rui zwierzęta nie zapominają o czekających na nie przysmakach. Wówczas samce, ciągnąc ku ambonie, odzywają się i w ten sposób wieszczą swą wizytę, ułatwiając myśliwemu strzał, gdyż po głosie można rozeznać poszczególne okazy i pilniej śledzić ten skraj polanki, skąd przybywa grubsza sztuka. Jelenie byki, podchodząc ku sobie, ryczą coraz namiętniej i uderzają wieńcami o przyległe drzewa, znacząc kierunek marszu całej chmary, która w innym czasie zachowuje się bardzo cicho. Przy czatowni łanie żerują spokojnie, podczas gdy podniecone byki kręcą się ciągle dookoła swego haremu, obserwując bacznie nadciągające inne chmary i ich władców.

Unikać tylko należy ustawiania ambon w pobliżu stałych paśników lub lizawek, gdyż polując w takich miejscach odstraszamy zwierzynę i zniechęcamy ją do danego rewiru. Prawdziwemu hodowcy zależeć musi na tym, by do paśników miała zwierzyna pełne zaufanie i jak najchętniej z nich korzystała. Toteż ambony trzeba zakładać w zupełnie innych, oddalonych od miejsc dokarmiania partiach lasu, najlepiej w pobliżu pól, na których zwierzyna czyni szkody. Po odstrzeleniu kilku sztuk z jednej ambony — reszta unika już przez pewien czas tej okolicy i w ten sposób częściowo zabezpieczamy plony przed spustoszeniem.

Zupełnie odmiennie poluje się z ambony na **łosie**. Łoś jest zwierzęciem, które nie znosi wszelkiej kultury i hodowli, toteż nie można go znęcić przynętą, a poluje się wyłącznie na wabia. Myśliwy w okresie jesiennym, kiedy rozpoczyna się ruja łosi, ulokowuje się nieco przed zachodem słońca lub też o świcie na ambonie, zaś wabiarz, ukryty w pobliskich zaroślach, imituje głos łopatacza i ściąga ku czatowni roznamiętnione gniewem byki, które umiejętnie podbudzane i kierowane, podchodzą często pod samą ambonę. Jest to jednak sztuka, wymagająca dużej rutyny łowieckiej i bardzo nieliczni tylko wabiarze są mistrzami tej miary, iż każdego odpowiadającego na wab łosia potrafią wyciągnąć z ukrycia.



Czatownia *fot. A. Gaponow*

Sam proceder łowów jest następujący. Wabiarz wychodzi nieco w przód przed czatownię i od czasu do czasu rzuca w przestrzeń stękanie łosia, aż do chwili, gdy prawdziwy łopatacz mu odpowie i zacznie posu-

wać się w potrzebnym kierunku. Natenczas chytry gajowy cofa się powoli, odzywając się coraz rzadziej, natomiast głośno „buszując", tj. łamiąc z hałasem krzaki i obrywając z nich listowie. Podniecony tym byk zbliża się coraz szybciej, goniąc domniemanego rywala, gajowy zaś podchodzi ku ambonie, mija ją i ustępuje dalej — ściągając łosia pod czatownię. Łowy te rozpoczynają się zaraz po nastaniu zmierzchu i trwać mogą aż do zupełnych ciemności, uniemożliwiających strzał. Drugim okresem łowów są świty. — musimy być cierpliwi. Późniejszy przyjazd do ambony, zwłaszcza gdy niewidoczna dla nas zwierzyna kierowała się już może w stronę czekających na nią przysmaków, opóźnia znacznie jej wizytę przy czatowni, zmuszając łowca do uciążliwego i beznadziejnego wyczekiwania, a bardzo często zawraca zwierza w inną stronę, w następstwie czego przynęta w ciągu kilku dni pozostaje nietknięta.

Chcę jeszcze zwrócić uwagę na końcowy moment łowów, na sam strzał. Otóż źle trafione zwierzę zdoła



W kniei poleskiej *fot J. Błeszyński*

przy czym polowanie w tym czasie przeciąga się niekiedy aż do wschodu słońca.

Po omówieniu — w krótkości — sposobów polowania na poszczególne gatunki zwierzyny, podać jeszcze pragnę na zakończenie kilka wskazówek ogólnych, dotyczących tego rodzaju łowów. Otóż czatownie muszą być ustawione dość wysoko nad powierzchnią ziemi, przeciętnie 5 do 12 metrów, tak by zwierzyna nie mogła wyczuć ukrytego w nich myśliwego. Poza tym budować trzeba ambonę w ten sposób, żeby można było wygodnie do niej dojechać i wejść na nią bezpośrednio z wozu. Sposób ten jest najlepszy, gdyż pozostawianie śladów na ziemi, zwłaszcza, gdy chodzi o gatunki bardzo ostrożne — działa odstraszająco, a często nawet przyczynia się do całkowitego fiaska.

Zasiadać na czaty należy przynajmniej na godzinę przed przypuszczalnym przybyciem zwierzyny do przynęty. Aczkolwiek nieruchome wysiadywanie w ciągu długich godzin, zwłaszcza zimowych, nie należy do przyjemności, to jednak chcąc zdobyć cenne trofeum w ciągu nocy tak bardzo się oddalić, że zazwyczaj później staje się niemożliwe do odnalezienia i ginie bezużytecznie. Strzelać więc należy wyłącznie na komorę, zwłaszcza, że istnieje możliwość strzału z podpórki, a więc stuprocentowego ulokowania kuli. Powodem postrzału bywa zazwyczaj gorączka myśliwska i pośpiech przy celowaniu, wcale zresztą nie uzasadniony, gdyż skoro już zwierzyna przyszła do przynęty — to nie ma obawy, by prędko się oddaliła. Zawsze więc można uchwycić moment, gdy sztuka odsłoni wygodnie łopatkę i dopiero wówczas trzeba wypuścić pocisk.

O ile nastające ciemności utrudniają strzał, to można zrezygnować z niego nawet zupełnie, gdyż zwierzyna, o ile nie została spłoszona, prawie zawsze przychodzi do przynęty i następnego wieczoru, strzał więc jest po prostu tylko kwestią czasu i lepiej jest odłożyć moment ubicia cennej sztuki, niż ranić ją lekkomyślnie i stracić okazję jej zdobycia raz na zawsze.

Leopold Pac Pomarnacki.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI.

B E K O W I S K O

Niebo było pochmurne, gdy 31 października o 6 rano wyjeżdżałem z Warszawy samochodem. Jechałem na bekowisko danieli do nadleśnictwa Pszczyna.

Duży Chevrolet płk. Ch. połykał kilometry z szybkością około 100 km na godzinę, tak, że mimo krótkiego postoju w Częstochowie, byliśmy na miejscu już o 11.30.

Szybkie powitanie z miłym inż. B. nadleśniczym, szklanka herbaty i znów jazda samochodem do leśnictwa Jankowice, znanego w całej Polsce z tego, że znajduje się tam zwierzyniec dla żubrów.

Na miejscu dowiadujemy się, że leśniczego nie ma, gdyż wyjechał „na groby", ale jest gajowy Kaszyca,

który zna świetnie las i orientuje się doskonale w sprawach łowieckich.

Niestety, deszcz pada, a meldunki brzmią niezachęcająco. Chociaż danieli jest sporo, jednak bekowisko już się skończyło i byka spotkać niełatwo.

Mimo tak niewesołych zapowiedzi ruszamy do lasu. Płk. Ch. wraz z gajowym jedzie na podjazd z tym, że wieczorem spróbuje szczęścia na jelenie selekcyjne, ja wraz z nadleśniczym udaję się na spacer po lesie, nie licząc na spotkanie ze zwierzem.

Deszcz powoli przestawał padać, ale mokre krzaki i trawy nie zachęcały do zbyt intensywnego bobrowania.

Wkrótce towarzyszący mi nadleśniczy zwrócił mi uwagę na głos przypominający trochę rżenie konia, trochę granie czarnego dzięcioła na spróchniałej gałęzi.

— A jednak jeszcze pobekują—odezwał się inż. B.

A więc to jest bekowisko—pierwszy raz słyszę głos daniela. Nie robi on na mnie żadnego wrażenia. Gdzież mu się równać z rykiem jelenia? Wprawdzie na daniele polowałem w ubiegłym roku w Jankowicach oraz w tym roku w nadleśnictwie Baszków w Poznańskim, ale było to przed lub po bekowisku. Przy tym byka nie zabiłem, a chciałem koniecznie zdobyć łopaty. Choć jednego daniela chciałbym ubić w życiu, mimo, że niektórzy koledzy-myśliwi wyrażali się z lekceważeniem o polowaniu na bekowisku, a byli i tacy, którzy z politowaniem kiwali głowami, gdy dowiedzieli się, że mimo ich ostrzeżeń — jadę.

Obiekcje ich polegały na tym, że daniela ubić nie jest żadną sztuką, gdyż jest to zwierzyna prawie parkowa, bardzo oswojona, a więc podjazd czy podchód niesłychanie łatwy.

Przed wojną na daniele nie polowałem, być więc może, że tak było. Z krótkiego jednak doświadczenia, jakie zdobyłem, polując na daniele po wojnie w towarzystwie wybitnych „danielarzy“, wyniosłem wrażenie, że zdobycie dobrego łopatacza nie będzie znów takie łatwe.

Wielu myśliwych, polujących po wojnie na rogacze, zauważyło różnicę w zachowaniu się sarn przed i po wojnie. Gdy przed wojną podjechać rogacza na 30—40 m było zabawką, dziś zwierzyna ta stała się tak ostrożna, że byle stuknięcie koła o korzeń lub najmniejszy ruch płoszy ją na niedostępne dla strzału odległości. Zdarzało mi się, że rogacz wyszedłszy na linię, pierwsze spojrzenie kierował w górę na ambonę, gdzie siedziałem ukryty. Wypadków takich nie zauważyłem przed wojną, chociaż na rogacze bardzo dużo polowałem. Dowodzi to, że zwierzyna przepłoszona działaniami wojennymi, stałym niepokojeniem i ustawicznym polowaniem, stała się znacznie ostrożniejsza. Mam wrażenie, że to co opisałem u sarn, odnosi się też do danieli, aczkolwiek w mniejszym stopniu.

Szliśmy z inż. B. gawędząc cicho o sprawach łowieckich, o minionym rykowisku, bekowisku i o planach na dzień następny.

Pod sam wieczór usłyszeliśmy bek drugiego byka w innym miejscu. Ale, że zmrok już robił się coraz bardziej nieprzenikliwy, skierowaliśmy się powoli do domu. Po drodze usłyszeliśmy strzał, to płk. Ch. strzelał do łopatacza, ale jak się okazało później — chybił. Błogosławiona cisza spływała na las. Cisza, której tak pragnie człowiek miasta, cisza, podczas której znikają gdzieś troski życia codziennego, a myśl roi sny cudowne, niezniszczalne. Jakże odpoczywają wtedy nerwy! Ta cisza jest dziwna, bo przecież słychać szczekanie psa i krzyk gęsi z niedalekiej leśniczówki, a jednak nikt nie zwraca na to uwagi i tylko rozkoszuje się łagodnym poszumem wiatru, igrającym szeleszczącymi liśćmi brzóz i dębów.

Prysnął nastrój, gdy z oślepiającym blaskiem świateł i rykiem klaksonu mijał nas autobus. Wkrótce też byliśmy w leśniczówce.

Ciemno jeszcze, gdy na drugi dzień o godzinie 6 rano, znów wyruszamy do lasu. Płk. Ch. na podjazd z leśniczym, ja samotnie na podchód.

Znam Jankowice od dwóch lat, mniej więcej orientuję się, gdzie mogę spotkać zwierzynę. Postanawiam więc pójść na tzw. „linię dębową”, na której stoi mała ambona. Idąc szosą jakieś trzy kilometry, muszę przejść obok dużego zrębu, na którym stoi duża ambona. Nazwy ambon oznaczają wysokość tychże. Duża ambona jest bardzo wysoka i daje rozległy widok, podczas, gdy z małej ambony widoczność jest tylko na linii i przed siebie niezbyt daleko.

Zwykle na „linii dębowej“ daniele żerują rankami na żołędziach, dlatego ją wybrałem za miejsce podchodu, który miałem zamiar zakończyć zasadzką na małej ambonie.

Przechodząc obok wspomnianego zrębu, lustruję go dokładnie przez lornetkę i widzę bardzo daleko ciemnego, mocnego łopatacza, który ostro idąc, kieruje się do drugiego leśnictwa Brzozowa. Nie mając żadnych szans podejścia, przyglądam mu się platonicznie i podziwiam szeroko rozłożone łopaty. Wreszcie byk ginie mi wśród młodych świerków, a ja dalej kroczę szosą.

Dochodzę wreszcie do „linii dębowej”, w którą skręcam i bacznie obserwując, posuwam się powoli naprzód. Już z daleka widzę cztery łańki daniela, żerujące właśnie pod małą amboną. Przez lornetkę sprawdzam, czy gdzieś nie stoi byk, ale go nie ma. W pewnym momencie łanie mnie zobaczyły i prysły w gąszcza. Jeszcze chwila spokoju i znów kroczę ostrożnie naprzód.

Nie dochodząc małej ambony, zmieniam plan. Kombinuję, że tam nic nie wyjdzie wobec tego, że spłoszyłem łanie i postanawiam udać się na dużą ambonę.

Wychodząc na zrąb, przez lornetkę zlustrowałem teren w bliskości ambony, ale niczego nie dojrzałem. Po chwili siedzę na ambonie.

Znów przeglądam teren, ale żaden ruch nie mówi o obecności zwierzyny. Tylko mgły, które roztrąca słaby wiaterek, zmieniają kształty, to kładą się niczym plazma białym woalem na krzaki, to znów przybierają jakieś fantastyczne formy chimer i zwodniczych nimf.

Zapalam papierosa. Dryling oparty stoi koło mnie tak, abym go mógł każdej chwili chwycić. I znów marzę, przeżywam w myślach, po raz nie wiem który, ubicie byka-jelenia, którego zabiłem w trudnych bardzo warunkach w nadleśnictwie Baszków.

Był to mój pierwszy powojenny byk. Stary, wieczny ósmak o wadze 5,2 kg wieńca, co na Poznańskie jest bardzo ładną wagą.

Jak długo tak siedziałem — nie wiem. W każdym razie dłużej jak pół godziny.

W tym na środku zrębu, tuż koło wysokiego spróchniałego dębu, dostrzegam jakiś ruch. Łapię za lornet-

kę i widzę tego samego łopatacza, którego widziałem z szosy. Widocznie musiał się położyć i teraz wstał. Przez lornetkę widzę, że stoi do mnie tyłem i drapie się hakiem łopaty po grzbiecie.

Emocja ogarnia mnie. Odległość do byka określam na ca 120 m, ale byk, jak już mówiłem, stoi tyłem i muszka drylinga zakrywa go całkowicie. Powoli nerwy się uspakajają. Widzę, że byk zwraca się bokiem do mnie i wolno udaje się do zagajnika. Nie dostrzegam, że oddala się na ukos ode mnie. Kilka głębokich oddechów, przypominam sobie ostrzeżenie Stacha S., że daniel nie zaznacza strzału, sprawdzam broń, naciągam przyśpiesznik i możliwie najdokładniej wymierzywszy, strzelam.

zrywa i jednym susem znika w gęstwinie świerków. Rzuciłem broń do ramienia, ale strzelić nie zdążyłem. Rozpacz! Za wcześnie ruszyłem ranionego byka, a co to znaczy, wiedzą inni myśliwi.

Wycofuję się na linię i zmartwiony wracam do leśniczówki.

Mniej piękne wydają mi się kolory schnących liści, mgła już nie wabi oka, przeszkadza mi, może to przez nią strzeliłem nie dość dokładnie. A wszędzie, gdzie spojrzę, widzę mego łopatacza, jak się zrywa do skoku.

Śniadanie też nie smakuje. Kawa, chociaż ze śmietanką, cierpki ma smak, jajka za twarde, masło nie chce się rozsmarować. W ogóle życie jest podłe. A tu trzeba trzy razy wszystko dokładnie opowiadać. Na-



Kapitalny łopaciarz

Łopatacz znaczy strzał takim ruchem, jakim jeleń oznacza strzał komorowy i wolno ciągnie do zagajnika. Szybko zmieniam wystrzeloną łuskę, składam się, by poprawić, ale byk załamuje się i znika mi pod niewielkim świerkiem.

Znów zapalam papierosa. Spoglądam na zegarek, jest za 20 minut ósma. Zaczynam kombinować. Byk zaznaczył strzał komorowy, przeszedł nie dalej, jak 20 kroków, a więc 20 minut wystarczy, aby doszedł. Czekam z niecierpliwością, a wskazówki zegarka tak wolno posuwają się naprzód. Że byk dobry, to wiem, ale jaki. Przecież to mój pierwszy w życiu daniel. Ciekawe, że tego dnia daniele już nie beczały, a mój łopatacz był sam na zrębie. Widocznie bekowisko się skończyło.

Wreszcie wskazówki zegarka zbliżyły się do ósmej. Schodzę z ambony, jeszcze raz sprawdzam na wszelki wypadek broń i ruszam do byka. Dochodzę na 5 kroków, już oglądam szerokie łopaty, gdy w tym byk się

przód nadleśniczemu, potym leśniczemu, który woził pułkownika, wreszcie Kaszycy, który się zjawił.

Godzina 9.30. Śniadanie skończone. Razem z Kaszycą udaję się na miejsce strzału. Jedziemy bryczuszką zaprzęgniętą w jednego konia. Jeszcze raz opowiadam gajowemu wszystko od początku. Poczciwy, pociesza mnie, że byka napewno znajdziemy.

Dojeżdżamy do wysokiej ambony. Pokazuję Kaszycy, gdzie byk stał, gdzie się pierwszy raz zwalił. Gajowy kiwa głową i dziwi się odległości.

Na miejscu strzału ani kropli farby, dalej to samo, nawet tam, gdzie byk leżał nie czerwieni się ani kropla. Pokazuję gajowemu miejsce, gdzie byk skrył się w gąszcza. Proszę, by włożył kulę do dubeltówki i w razie czego dobił.

Kaszyca, postawiwszy kołnierz, znikł w mokrych, gęstych świerkach.

Kilka minut i już mnie woła:

— Panie naczelniku! Panie naczelniku!

— Co jest? — pytam.

— Leży! — odpowiada.

Nie bacząc na wodę, lejącą mi się ze świerków za kołnierz, wpycham się w gąszcz i widzę mego byka, leżącego jakieś 7—10 kroków od miejsca, gdzie się zerwał.

Łopatacz był naprawdę dobry. Szerokie i wysokie łopaty zdobią szlachetną głowę byka.

Strzelałem kulą półpłaszczykową kal. 8 × 57 × 360. Kula trafiła w wątrobę, przeszła przez wnętrzności, robiąc straszne spustoszenie, oberwała część płuc i wyszła, nie naruszając serca. Jak się później okazało, strzelałem na 147 kroków. Ładny strzał.

Gdy wracałem do leśniczówki, liście miały radosny złotoczerwony kolor.

Warszawa, dn. 5 listopada 1948 r.

M. Mniszek Tchorznicki.

KAZIMIERZ TARNOWSKI.

SYSTEMY TRESURY PSÓW MYŚLIWSKICH *)

Starodawne systemy tresury psów myśliwskich, polegające na brutalnym zmuszaniu psów do uległości przez stosowanie głodówek, zamykanie w ciemnicy, wreszcie bicie, ulegały, w miarę rozwoju kynologii, powolnej ewolucji. Były to zresztą przyjęte wówczas środki i sposoby układania nie tylko psów myśliwskich, lecz również i ptactwa łownego, przekazywane z ojca na syna w ciągu całego szeregu lat.

Już Diezel, staroniemiecki myśliwski pisarz klasyczny, autor wskazówek jeśli chodzi o prowadzenie wyżłów w suchym polu, łagodzi dotychczas stosowane barbarzyńskie środki, jakkolwiek sam nie umie wybrnąć ze starego systemu bezwzględnego łamania psa.

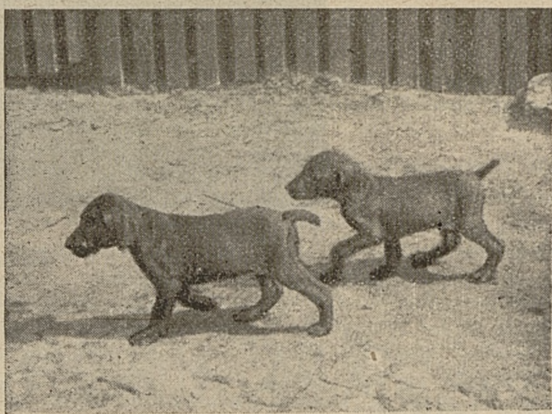
System tresury par force, rozwinięty później przez Oswalda, chociaż odbiegał od starych, drastycznych sposobów traktowania psa, jednakowoż nie uznał psychologicznego podejścia do psa, uważając go za bezmyślne narzędzie w rękach człowieka, który narzucał bezwzględnie własną wolę bez oglądania się na charakter i indywidualność psa. Tresura par force dotrwała nawet do dzisiaj i jest stosowana bez względu na nowe prądy, które ułatwiają tresurę przez wyzyskanie wrodzonych właściwości psa.

Z chwilą rozwoju w Niemczech kierunku wyżła wszechstronnego, tresura par force ujawniła swoje braki i zły sposób podejścia do psa. Pierwszy Oberländer ogłasza swój nowy sposób tresury, który w owym czasie przyjęty z uznaniem, obecnie spotyka się z ostrą krytyką. System Oberländera, nazwany jednym słowem „Zwangs-dressur" (tresura przez przymus) opiera się na stosowaniu w czasie tresury przymusu do wykonywania wszystkich ćwiczeń. Oberländer bowiem wychodzi z założenia, że pies, rozumiejąc co mu wolno a czego nie, może być właśnie z obawy przed karą oduczony pewnych przywar, względnie zmuszony do wykonywania pewnych ćwiczeń. Oberländerowi zarzuca się również pewne uczłowieczenie niektórych czynności psa, co oczywiście nie zgadza się z obecnymi zapatrywaniami na psychikę psa.

Oberländer, będąc zapamiętałym propagatorem kierunku wyżła wszechstronnego jak również nieodrodnym wyznawcą „drillu" pruskiego, twierdził, że metoda jego może być stosowana do dzielnego pracownika i pomocnika myśliwego, a nie psa przerasowanego, miękkiego. Podstawą, na której opierał on wychowanie młodego psa, był według niego intensywny ruch i racjonalne odżywianie. Dlatego zalecał bardzo możność gonienia zajęcy, aby z jednej strony wyrobić w psie tężyznę fizyczną i wytrzymałość, a z drugiej strony — wytrwałość w późniejszym dochodzeniu ranionej zwierzyny.

Każdy hodowca zgodzi się z tymi zasadami, lecz nie każdy treser pozwoliłby swemu psu na tę bezkarność w gonieniu, gdyż wie ile trudu i pracy wymaga późniejsze odzwyczajenie tak znarowionego psa. Lecz tu właśnie wkraczał Oberländer ze swym systemem i ostrymi środkami odzwyczajał psa od tych narowów, na które mu poprzednio zezwalał. W każdym zdaniu widzimy to przekonanie do wszechmocy tresury, która potrafi z psa ulepić dowolną figurę. Indywidualność psa, jego charakter czy skłonności, ustępują przed tym „drillem" i to są właśnie niedomagania metody Oberländera.

I chociaż Oberländer stara się wykazać, że jego metoda jest zupełnie nowa, to jednak możemy ją uważać za zmodernizowaną par force tresurę, złagodzoną przez stosowanie łagodniejszych środków, mających zmusić psa do posłuszeństwa. System Oberländera, który początkowo miał do czynienia ze staroniemieckimi wyżłami o twardym charakterze, z chwilą udoskonalenia ras wyżłów kontynentalnych przez dolanie krwi wyżłów angielskich, utracił pierwotne znaczenie i wydał się za ostry.



Wyżełki z hodowli J. Rodakiewiczowej

Znalazł się więc autor dzieła „Der Gebrauchshund", Hegendorf, który zarzuca Oberländerowi pewną automatyczność i indywidualizując psy, stara się, przez poznanie ich charakteru, nagiąć do niego odpowiednio system tresury. Dużą rolę przypisuje również odpowiedniemu wychowaniu młodego psa, który wchodzi w okres tresury nie jako surowy pies, kierujący się własnymi upodobaniami, lecz z pewnym zainteresowa-

*) Rozdział z przygotowywanej pracy „Wyżeł wielostronny".

niem do rzeczy, których będziemy od niego wymagać. Jak system tresury Oberländera określilibyśmy zdaniem „za niewykonanie ćwiczenia.— kara" (jakkolwiek karę tę twórca systemu przewiduje niekoniecznie w formie bicia, lecz w postaci strofowania, ćwiczenia karnego itd.), tak Hegendorf kieruje się zasadą „za dobre wykonanie ćwiczenia — nagroda".

Hegendorf zapewnia, że tresurę wyżłów opiera na psychologicznym poznaniu, a mimo to również jest wyznawcą zastosowania przymusu, wprawdzie nie w ostrej formie jak Oberländer. Pomaga sobie przy tym własnymi, udoskonalonymi przyborami tresurowymi, pewnymi ułatwieniami w pracy wodnej, leśnej czy odnajdywaniu zguby. Jeśli chodzi o gonienie zajęcy przez wyżełka, Hegendorf robi pewne rozgraniczenie, a więc zupełnie słusznie w stosunku do wyżełka, który wykazuje brak pasji myśliwskiej, radzi pobudzić ją przez okazję do gonienia zajęcy, natomiast wyżły z temperamentem radzi powstrzymać od tego, żeby nie wyrobić z nich zaciekłych poganiaczy zajęcy. Hegendorf, idąc śladami Oberländera, a więc uznając ideę wyżła wszechstronnego, poświęca dużo uwagi nauce pracy leśnej, zaś nieznaczną tylko część swego dzieła poświęca pracy w suchym polu, jakgdyby zapominając, że przecież praca wyżła właśnie tu się zaczyna, i że tylko podczas pracy w suchym polu pies może wykazać takie zalety, jak: chody, wiatr i stójka.

Będąc hodowcą, treserem a zarazem i autorem, Hegendorf nie potrafił uniknąć również pewnego uczłowieczenia psa, chociaż w mniejszym stopniu aniżeli Oberländer. Metoda Hegendorfa, oparta na prawidłowej obserwacji psa i na psychologicznym podłożu, może być z pomyślnym skutkiem zastosowana przy tresurze wyżłów wielostronnych i wszechstronnych.

Nowe metody tresury K. Mosta i P. Böttgera, oparte na wrodzonym psom instynkcie sfory, podporządkowują psa człowiekowi, który w pojęciu psa jest przewodnikiem sfory. Wykorzystując kojarzenie wyobrażeń u psa, jak również wyzyskując pewne refleksy (odruchy), przy równoczesnym unikaniu podczas tresury niepożądanych refleksów (np. refleks obawy, obrony, płciowy, ucieczki, rozrywania itd.), można łatwo nawiązać z psem kontakt myślowy, bez używania środków, wzbudzających u psa bojaźń i nieufność.

W czasie pobudzania u psa pewnego, wrodzonego mu refleksu, musimy równocześnie wywołać pewną podnietę zmysłową, oddziaływując na jego zmysły, tj. słuch czy wzrok. Na przykład podczas przerabiania aportu staramy się wywołać dziedziczny refleks chwytu, poruszając przed oczyma psa podawką, równocześnie musimy oddziaływać na jego zmysł słuchu, wymawiając stale jedno słowo „aport". Obserwujemy tutaj już pewne skojarzenie przez psa dziedzicznego refleksu chwytu z podnietą słuchową w formie słowa „aport".

Nie zawsze jednak da się wszystkie ćwiczenia ułatwić przez wywołanie pewnych refleksów. Musimy się uciekać do kojarzenia pewnych podniet, a więc przy nauce warowania — na znak ręką (po uprzednim zaznajomieniu psa ze znaczeniem słowa „waruj"); przy wymawianiu słowa „waruj" podnosimy równocześnie rękę do góry. Po kilku dniach ćwiczeń, obie te podniety, słuchowa i wzrokowa, skojarzą się w umyśle psa tak ściśle, że w końcu nie potrzeba będzie podniety słuchowej.

W czasie innych ćwiczeń, natomiast, posługujemy się podnietą mechaniczną, oddziaływując równocześnie na zmysł słuchu w formie pewnego określonego rozkazu. Metoda Most-Böttgera, wyzyskując nowoczesne zdobycze naukowe w formie poznania psychologii psa, przewiduje mimo wszystko, nawiązując do dawnych prądów, pewien przymus, jak również przypisuje psom pewne cechy ludzkie. Most twierdzi, że przymus jakkolwiek sprawia pozornie pewną przykrość, może być jednak w niektórych razach korzystny dla doznającego przykrość. Przymus ten, w wykonaniu jakiegoś przykrego działania, względnie zaniechania jakiejś miłej dla psa czynności (np. zjadanie nieczystości i różnych odpadków, gonienie zajęcy itd.), ma być pojmowany przez psa w przewidywaniu przez niego jakichś większych przykrości (może w formie kary), względnie korzyści (może w formie nagrody).

Autor twierdzi dalej, że pies nie ma możności zrozumienia celu i istoty przeżytych wrażeń, więc według mnie nie może również myśleć abstrakcyjnie, tj. przewidywać co jest dla niego korzystne, a co może wywołać przykrość, gdyż wówczas przyznawałoby się psu właściwości stworzenia rozumnego, mogącego myśleć. Stosowanie przymusu przewiduje metoda Most-Böttgera w trzech formach, tj.: przyjemnej (głaskanie, zabawa, krycie się itd.), przymus średni (słowo „fuj", targnięcie linki), przymus ostry, hamujący (uderzenie, ugodzenie z procy itd.). Pobudki pośrednie w formie znaków czy rozkazów, o ile nie poskutkują, muszą być zastąpione pobudkami bezpośrednio oddziaływującymi na psa w chwili przekroczenia przez niego granic jego uprawnień.

Tak np. pies, idąc za własnym popędem, który sprawia mu przyjemność, pogoni zająca czy kuropatwy. Trudno wymagać, żeby zastanawiał się, że spotka go później przykrość; należy więc z chwilą zerwania się zająca rzucić rozkaz „waruj!". Pies jednak, będąc pod przemożnym refleksem gonu, mimo rozkazu „waruj!", który powinien wypełnić, w większości wypadków pogoni.

W tym momencie musi nastąpić przymus hamujący, a więc strzał z procy, uderzenie specjalnym prętem, względnie silne szarpnięcie za sznur, przywiązany do kolczastej obroży psa. Pies musi odnieść wrażenie, że nie powrót do swego pana sprawił mu ból (np. przez zastosowanie bicia), lecz samo pogonienie zająca sprawiło mu przykrość.

Metoda Most-Böttgera chętnie stosowana w szkoleniu psów służbowych, jest, jak dotąd, mało stosowana w praktyce, jeśli chodzi o tresurę wyżłów.

Powodem tego jest, według mnie, zbyt naukowo pojęty system, oparty na psychologicznych przesłankach, trudno dostępnych dla przeciętnych treserów, względnie myśliwych, tresujących własne psy. Poza tym pewien tradycjonalizm i wiara w stare metody powodują również opieszałość w poznaniu i zastosowaniu nowych prądów. Na koniec pewna, zdawało by się, trudność w podobnym podejściu do psa, w przeciwstawieniu do łatwiej zrozumiałego systemu Oberländera czy Hegendorfa, wiara we wszechmoc przymusu, pod pręgierzem którego pies musi wykonać wszystko to, czego od niego żądamy — dopełnia tej pewnej niewiary w skuteczność nowej metody.

Niejednokrotnie słyszy się głosy ze strony doświadczonych myśliwych, że tak zwana przez nich „tresura przez zabawę"— zawodzi nieraz. Przytacza się oczywiście fakty, np. jeśli chodzi o naukę aportu, że pies,

który nie przeszedł tego ćwiczenia metodą par force, zawiedzie w bardziej trudnych warunkach. Rzecz ta przedstawia się przeciwnie, gdy pies w wypadkach okazanej niechęci został przełamany i zmuszony do wykonania rozkazu w warunkach trudnych, względnie jeśli chodzi o przyaportowanie rzeczy dla niego niemiłych (drapieżniki).

System Most-Böttgera, stosowany w tresurze psów służbowych, gdzie pojedyńczy wychowawca ma swego psa, którego tresuje, z którym potrafi nawiązać kontakt myślowy i z którym — co najważniejsze — wyłącznie później pracuje, ma uzasadnienie. Sprawa ta przedstawia się w innym świetle, jeśli przyjmiemy zakłady tresury psów myśliwskich, gdzie kilkanaście



Na stacji hodowlano-treningowej w Hubertówce
fot. Z. Kowalski

psów, tresowanych dla klientów przez jednego czy dwóch treserów, po ukończeniu kursu przechodzi w ręce, niejednokrotnie zupełnie nieświadomego żadnych metod, myśliwego. Właściciel psa, wytresowanego powyższą metodą, stanie nieraz przed psem, który odmówi mu posłuszeństwa w najgorętszej chwili; wówczas zdenerwowany, nie licząc się ze wskazówkami tresera, popsuje go w jednej chwili, przez zastosowanie ostrych środków. Cały system tresury, oparty na tych wszystkich podnietach, wyzyskaniu dziedzicznych odruchów itd., runie przez jedno złe pociągnięcie myśliwego, a psa, który prowadzony był w nieświadomości słusznej nieraz kary, należy od nowa poddać tresurze, jako zupełnie zdezorientowanego. Najłatwiejszym wówczas wyjściem jest złożenie całej winy na tresera, który, jak się to nieraz mówi, nie potrafił „durchdresieren" powierzonego mu psa.

Kojarzenie wyobrażeń, które poprzednio u znanego tresera dopisywało psu, obecnie w zmienionych warunkach terenowych, wskutek zmiany kierującej osoby, wskutek działania pewnych refleksów hamujących, rozluźniło się, pies poprostu przestaje jak gdyby myśleć, źle wypełnia, względnie nie wypełnia rozkazów, wpadając w coraz to większy chaos. Ten sam pies, wróciwszy z powrotem do dawnego swego pana, nawiązuje utracony kontakt myślowy i staje się znów wzorowym wykonawcą każdego rozkazu. Fakty te istnieją i stale się powtarzają.

Jest to jedna ze słabych stron metody Most-Böttgera, umożliwiającej wprawdzie wybitne skrócenie czasu tresury i ułatwiającej samą tresurę, jednakowoż w pewnych wypadkach, jeśli chodzi o psy myśliwskie, kończącej się fiaskiem. Jak różne są poglądy na tresurę psów myśliwskich i ich zastosowanie, podam przykład.

W czasie zwiedzania Ośrodka Hodowlano-Treningowego „Hubertówka" pod Warszawą, nawiązała się później przy kolacji rozmowa na psie tematy. Uczestniczyli w niej wybitni kynolodzy, jak: mecenas Przychodźko, mgr Brudnicki i kierownik Ośrodka, p. Przybyła. Z zajęciem przysłuchiwałem się wywodom nestora naszej kynologii — Przychodźki, o pojmowaniu pracy wyżła przez Anglików. Wyżeł angielski ma pracować w polu szerokim sposobem szukania, idealnie przekładać pole, ażeby nie pozostawić terenu, nie będącego w zasięgu jego wiatru, i wystawić zawietrzoną zwierzynę. Aport strzelonej zwierzyny czy wypracowanie postrzałka, względnie inna praca, np. w lesie czy wodzie, jest już obciążeniem psa, które obniża ten artyzm, z jakim pies pracuje w suchym polu.

W ten sposób wychowane i selekcjonowane wyżły wykazują nadzwyczaj szybkie chody, szeroki i prawidłowy sposób szukania, doskonały wiatr oraz nieraz, jak się to mówi, specjalny „zmysł do ptasiego pola".

Jest to czysto sportowe podejście do sprawy, uznające idealny typ wyżła jednostronnego, o wybitnie rozwiniętych wrodzonych zaletach typowego polowca.

Typ ten osiągnąć trudno, i gdy mecenas Przychodźko przytoczył, że z podobnymi psami spotkał się dopiero dwa razy, możemy sobie wyobrazić na jakim poziomie stać muszą te zalety wrodzone. Zwolennik a zarazem doskonały znawca wyżła wszechstronnego, p. Przybyła, przeciwstawiał temu idealnemu typowi wyżła jednostronnego, typ wyżła, który nie tylko ma zadanie wystawiać zwierzynę, lecz również wypracować każdego postrzałka i wykazać doskonałą pracę w polu, w wodzie i w lesie. Starły się tam, jak widzimy, dwa skrajne zapatrywania, które nurtują od dawna wśród myśliwych i nie będą rozwiązane, dopóki istnieć będą dwa typy myśliwych: jeden typ myśliwego-sportowca, drugi myśliwego-praktyka.

Rzecz oczywista, że tresura podobnych wyżłów jednostronnych, według metody Most-Böttgera, będzie zupełnie racjonalna, gdyż daje rękojmię, że pies podczas tresury nie obniży poziomu swych wrodzonych zalet polowych, które przy zastosowaniu ostrzejszej tresury mogłyby przygasnąć. Ponadto miękki charakter wyżłów ras angielskich i ich jednostronne przeważnie użycie, ułatwiają zastosowanie powyższej metody. W tresurze wyżłów wielostronnych, gdzie obok czystej pracy w suchym polu, odgrywa ogromną rolę cały cykl aportu od podniesienia ubitej sztuki z lądu i z wody, aż do odnalezienia postrzałka drobnej zwierzyny, gdzie wymagana jest wybitna ciętość na drapieżniki, praca w wodzie, w zaroślach i wiklinach, a więc gdzie obok walorów czysto wrodzonych, dużą rolę muszą odegrać walory nabyte przez tresurę — metoda Most-Böttgera w czystym wydaniu nie zawsze odniesie pożądany skutek.

I jakkolwiek system Oberländera i Hegendorfa nie zgadzają się z nowoczesnymi pojęciami o podstawach tresury, i jakkolwiek nieraz przysparzają więcej pracy nad psem, jednakowoż, po zmodyfikowaniu i dostosowaniu indywidualnie do charakteru danego psa, niejednokrotnie dadzą w tresurze wyżłów wielostronnych trwalsze rezultaty i zupełną pewność, z jaką później możemy liczyć na pomoc naszego towarzysza w twardej praktyce myśliwskiej.

K. Tarnowski.

LUDWIK HRYNCEWICZ.

OBJAZDEM

Koła pociągu zaszczękały po zwrotnicach. Monotonne ich gdakanie zwolniło tempo, wreszcie zupełnie ustało. Na peronie spotyka mnie Władziuk, 16-letni totumfacki mego kuzyna Tomasza Zana, do którego rokrocznie jeździłem na świąteczne ferie, zimowe łowy, odkarmienie się po studenckich obiadach, oderwanie się od miasta i wytchnienie po politechnice.

Kobyłka żwawym truchcikiem ciągnie saneczki. Władziuk opowiada wszelakie nowości, w jego mniemaniu tak ważne. W samej rzeczy interesują mnie, gdyż dom Tomasza, to mój drugi dom rodzinny. Władziuk opowiada też i łowieckie nowiny. Więc dowiaduję się, że dopiero w ostatnich dniach „chwackiego śniegu napadało a przed tym była halizna i poroszy ni, ni", że babcia berżenicka posadziła z wiosną kurę na jajkach cieciorki, które on, Władziuk, na Samance znalazł, i wyszły młode ciecieruki, ale że jak „im pióry podrośli to pół na krzydłach, pół na nogach pooszli w rojst, tyle ich i widzieli", że w tym roku „gruszki nie bardzo urodzili, ale za to japek (jabłek) gospodarz do Wilna dwa wagony odstawił i jeszcze pełna piwnica jest", i że „osobliwie kalwili nader piękne byli". Dowiedziałem się też, co mnie najbardziej zajęło, że „na Samankach pan kobyłę położyli i wilcy już dwa razy byli, Sidorowicz telefonował, ale że młócili, czasu nie było polować".

Trzy tory na dróżce, jeden koński i dwa po płozach z boku wiją się po ślicznej, falistej okolicy, tak typowej dla Brasławszczyzny. Zjeżdżamy na zamarznięte jezioro. Za jeziorem folwarczek, płonący kominek, przyjazne dusze, litewskie wędliny, smażone z Wecków rydze, świeży rogojż pszenny, gorąca herbata z arakiem. Potem gawędy, opowiadania, przy czym jeden przez drugiego gada, jak to zwykle po długim niewidzeniu, snuje plany na najbliższe dni łowów i na dni świąt. Jestem jednak zdrożony, oczy się kleją. Walę się do łóżka i razaz zasypiam.

„Czut świt" budzi mnie Władziuk, objazdowe saneczki zaprzężone, ogarniam się i w las, do Sidorowicza, a z nim na objazd.

Zaczęliśmy od Samanki. Przy padle były trzy sztuki, poszły w stronę kolei. Sidorowicz po śladach poznaje, że w tej trójce był też stary basior „hłuchy", osobisty wróg Sidorowicza. Objeżdżamy rewir za rewirem, rojsty za rojstami, zagajnik za zagajnikiem.

Wszedł, wyszedł, wszedł, wyszedł; raz, dwa, trzy ślady wejściowe, raz, dwa, trzy ślady wyjściowe. Rewir koło toru, zagajnik brzozowy, remiza sosnowa, rojsty koło leśniczówki, aż hen! pod granicę litewską na bagno Trykopca.

— „Hłuchyj" na Trykopcy zalegnie, żebym tak zdrów był. On i głupi i chytry. Mnie latem prosiuka wyprowadził do lasu. Kazał jemu iść, tak żywiołka i poszła, na śmierć poszła — twierdzi Sidorowicz. Gdy zacząłem wątpić w możliwość takiego autorytetu między bydlętami — Sidorowicz opowiada mi następującą historię:

— Panok, co mówisz? Jak nie poszła? A jak tamtego roku było z ojcem pana Tomasza? Pojechali oni we dwóch z Jasiukiem Rokickim ciecieruków podjeżdżać, po tym kazionnym lesie za miasteczkiem. Hłuchy był jak raz świnia z wioski wyprowadziwszy. Zajechali na rojsty, patrzą, a pod jodłą świnia leży. Myśleli nieżywa. Gdzieee! Żywiutka — żywa! Dobrze, że mieli wierówkę (sznur), — związali świnię, zawieźli do wioski i oddali gospodarzu. Wilk kazał jej iść, tak



Głowa rekordowego wilka

i szła, kazał leżeć i czekać, tak i czekała, choć ludzie ją brali, nie ruszała się. Wilczy rozkaz dla świni święty. Ten hłuchy, dziwny wilk. On koniom nie bardzo z drogi schodzi. Jechali chłopi do młyna, to on zeszedł z drogi kroków dwadzieścia, siąd i siedzi. Koni nastraszył, ludziskom kłopotu narobił, postronki porwali. Oj, żeby my go dziś dostali, oj!

Trykopca graniczyła ze ścieżką patrolową KOP, o staję dalej — Litwa. Na skrzyżowaniu dróg zostawiamy konika i obchodzimy bagno na nartach. Na początku znajdujemy trzy ślady wejściowe — między nimi i hłuchego. Przy samej granicy dwa wyjściowe i o parę kroków te same wejściowe. Przy dukcie, idącym przez środek całych rojst, rozstajemy się z Sidorowiczem. On idzie duktem, ja naokoło. W ten sposób od razu będziemy wiedzieli gdzie wilki zalegly, jeśli w ogóle zaległy w tym ostępie.

Po godzince jesteśmy „w domu"; trzy wilki leżą po prawej stronie duktu.

— Hłuchy przy dukcie leży, pysk rozdziawił i śpi, muchi mu po ozorze łażą i zęby czyszczą — żartuje sobie Sidorowicz.

Jest już późno, dobiega dwunasta. Naprędce ustalamy plan: przez dukt — fladry, od granicy litewskiej — fladry, pędzić trzeba od północy z wiatrem, myśliwi stają od krzyżówki, po dróżce. Sidorowicz jedzie na gajówkę telefonować do Tomasza. Zostaję sam, rozwieszam fladry według ustalonego planu, wracam na

krzyżówkę i na nietkniętym śniegu polanki rysuję plan: tu fladry, tak pędzenie i kierunek naganki, tu myśliwi, a tu ja już stoję. I rzeczywiście, nie czekając przybycia myśliwych i naganiaczy, idę na swoje, z góry upatrzone stanowisko, pozostawiając jednak najlepsze do dyspozycji. Pozostałe mi z ofladrowania pięćdziesiąt metrów flader, rozciągam na prawo od mego stanowiska, wzdłuż dróżki. Jest godzina pierwsza, powinni zaraz nadjechać. Liczę na to, iż wilki które się dość późno zdecydowały na legowisko, o tak spóźnionej porze będą czuły nawet najmniejszy ruch na linii, przeto moje stanowisko, zajęte wcześniej, na którym od dobrej chwili będzie już panowała cisza, będzie miało duże szanse.

Zamieram bez ruchu, stoję, stoję, zaczynam marznąć i to porządnie, bo zgrzany byłem ruchem. Nareszcie po dobrej chyba godzinie — skrzyp płóz i chrzęst śniegu pod stopami. Przyjechali. Za chwilę widzę Nikę, małżonkę gospodarza, również zapaloną myśliwę, zajmuje stanowisko na drugim końcu chorągiewek.

Słyszę w ostępie łomot. Cholera! tak jak przypuszczałem, wilki posłyszały ruch i poszły, bo zaputa (naganka) zapewne jeszcze nie zaszła, najdalszy miała szlak. Wyraźnie słyszę łamiący się śnieg pod susami dużego zwierza. Idzie w stronę, mającej chyba zaraz ruszyć zaputy. Cichnie. Znów rozlega się, ale jakby z powrotem, i susy szybsze, widocznie zwierz poczuł naganiaczy i zawrócił. Nadzieja wraca, choć takie hałasy i ruch w ostępie właściwie nic dobrego nie wróżą. Zalega złowroga cisza, złowroga, bo może całodzienny mój trud psi na chwoście ponieśli.

Teraz słyszę glosy, grzechotkę, od czasu do czasu głośniejsze huknięcie. Zaputa ruszyła. Krew żywiej krąży, ciepło się zrobiło, i — charakterystyczne — w dziurkach od nosa czysto się zrobiło. Czuj duch!... Widzę lisiurę. Sadzi wprost na fladry, na pół drogi między mną a Niką. Powstrzymuję się całą siłą woli, by nie dmuchnąć w niego loftkami. I mam stracha, że Nika nie wytrzyma fasonu. Ale Nika nie darmo żona wytrawnego myśliwego. Nauczona. Wytrzymała. Mikita poszedł przez chorągiewki, tylko śnieg zakurzył!... Przecie wiadomo — pierwszy strzał należy wilkowi. Czekamy dalej. Cisza. Jeszcze chwila, jeszcze chwila, marnie! Widzę, że cała obława spali na panewce, gorzej, widzę nawet w głębi rojst cienie naganiaczy.

I teraz dopiero zaczyna się rozgrywać cała historia. Trwa to zaledwie parę sekund, a przebieg ma jak poniżej.

Słyszę na lewo ode mnie dwa szybko po sobie następujące strzały, chwila ciszy i... pięć suchych trzasków Tomaszowego winczestera. Potem zduszony, rozpaczliwy głos Tomka: „Władziuk, dawaj strzelbę!"

Jeszcze jeden strzał i... cisza. Pędzę przez głęboki śnieg w kierunku rozgrywających się wypadków, kombinując po drodze: „Co tam się stało? Stado wilków napadło Toma? Niemożliwe! Bandyci? Szaulisi litewscy? Chyba tak! I Tomek woła Władziuka, który przecie wraz z kilku chłopakami idzie w nagance, jakim cudem przeto może dać tę strzelbę?" W krzakach natykam się na martwego już, bardzo dużego wilka. Na polance Tom i Kazik S. Padają pytania, odpowiedzi. Sprawa była prosta.

Tomasz stanął na najlepszym w tym miocie stanowisku, na szyjce polanki, zwróconej w stronę rojst, na znakomitym trakcie wilczym. Twarzą był zwrócony w rojsty. Wilk, mimo łamaniny, podszedł mu od tyłu i Tom raptownie zobaczył go za sobą. Palnął z dwunastki, zbił wilkowi przednie łapy, a wilk dalej idzie. Cisnął w zapale flintę w śnieg, złapał sztucer, stojący pod jodełką i wyrąbał cały magazynek. Wilczysko czołga się dalej. Do sztucera nabojów więcej nie ma, ale do flinty są. Gdzie flinta? Cisnął ją w śnieg i tak sprytnie, że pogrążyła się w śniegu; flinty nie ma. Sztucer pusty. Stąd wołanie do Władziuka, totumfackiego! Dopiero ósmy z kolei strzał Kazika, który w międzyczasie nadbiegł, wykończył i tak zdychającego wilka, który poza dwoma pierwszymi strzałami, dostał trzy kule ze sztucera.

Co się stało z pozostałymi wilkami, niewiadomo!

Trofeum piękne. Był to właśnie „hłuchy", ogromny, płowy basior.

Koroną polowania było opowiadanie Jasiuka Rokickiego, wyjaśniającego harce zwierza po ostępie:

— Szedł ja za zaputą. Zachodzim, patrzę — wilk na mnie idzie i nie widzi. Tak ja przykuc, siedzę, a ten prosto na mnie sznuruje. Mógł ja jego stuknąć, ale nie chciał ochotnikom krzywdy robić. Naszedł on na mnie na kroków dziesięć. Wtedy ja wstał i ręce roztapyżył. krzyknął: „A do budy!" Wystraszył ja jego, że aż nazad skoknął. Hłuchy. Nie dosłyszał. Zamiast do budy, pod ochotnika wyszedł.

Ł. Hryncewicz.

Myśliwski Konkurs Fotograficzny

Celem ożywienia i zaktualizowania strony ilustracyjnej „Łowca Polskiego", Redakcja ogłasza Fotograficzny Konkurs Myśliwski specjalnie **dla fotografów-amatorów.**

Przedmiotem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej, sceny z polowań, charakterystyczne krajobrazy terenów łowieckich, psy myśliwskie w pracy, ciekawe pokoty i trofea łowieckie.

Zdjęcia powinny być ostre, wykonane na papierze błyszczącym, w formacie nie mniejszym, niż 9×12 cm.

Fotografie mogą być nadsyłane bądź seriami, bądź pojedyńczo, powinny posiadać każda „legendę" tj. objaśnienie treści z podaniem miejscowości, wzgl. daty zdjęcia, i zaopatrzone w godło. Nazwisko autora należy podać w zamkniętej kopercie, opatrzonej tym samym godłem.

Jako nagrodę I-ą wyznaczamy dla serii, zawierających najmniej 5 zdjęć — 20.000 zł., dla fotografii pojedyńczych—5.000 zł.; jako nagrodę II-ą — dla serii—12.000., dla zdjęć pojedyńczych — 3.000 zł.; jako nagrodę III-ą—dla serii—8.000 zł.; dla pojedyńczych—2.000 zł.

Termin nadsyłania zdjęć upływa z dn. 1 kwietnia 1949 r. Nagrodzone fotografie będą umieszczone w „Łowcu Polski", pozostałe — według uznania Redakcji. Sąd Konkursowy stanowić będzie Komitet Redakcyjny „Łowca Polskiego".

W razie nie osiągnięcia należytego poziomu zdjęć, sąd może nieprzyznać nagrody I-ej.

Redakcja.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

GOSPODARKA BEZZRĘBOWA A ZWIERZOSTANY

Na mocy rozporządzenia Ministerstwa Leśnictwa z początkiem roku gospodarczego 1948/49, a więc już tej jesieni i zimy, eksploatacja drewna w lasach państwowych przechodzi stopniowo i na stałe z gospodarki zrębowej (zrębów czystych) na gospodarkę bezzrębową (zrębów częściowych, tj. kępowych i trzebieżowych), przy jednoczesnej zmianie w tym samym stosunku prac odnowieniowych dla urzeczywistnienia eliminacji niekorzystnych z różnych względów drzewostanów czysto iglastych.

Jak to będzie wyglądało w praktyce? Oto gdy dotychczas do wyrębu były przeznaczone całe oddziały lasów, lub też ich części, tworzące większe powierzchnie ciągłe zrębów, co na znacznej przestrzeni lasów (np. na terenie N-ctwa) odbywało się — w zależności od mającego być dokonanym planu eksploatacyjnego — w jednym lub paru miejscach, pozostawiając resztę lasów danej jednostki administracyjnej w zupełnym spokoju, obecnie częściowo, a w przyszłości całkowicie, praca eksploatacyjna odbywać się będzie po całym lesie potrosze, to znaczy w wielu miejscach kępowo, jak wskażą na to okoliczności, związane z planem przewidującym stopniowe wprowadzenie drzewostanów mieszanych, a jednocześnie z planem eksploatacyjnym co do wydobycia potrzebnych gatunków drewna, a więc z planami, których koordynacja zostanie z góry uzgodniona.

Nowy system bezzrębowy został wprowadzony w celu możliwości eksploatacyjnych w dalszej przyszłości w stosunku do światowego zapotrzebowania, a także z uwagi na zwalczanie tą drogą klęsk owadzich, niszczących na olbrzymich obszarach całe masy drzewostanów jednolitych sosnowych względnie świerkowych. Zastosowanie hodowli drzewostanów mieszanych stanie się środkiem — praktycznie i bardziej ekonomicznie rozwiązującym powyższe zagadnienia.

Tyle o nowym systemie gospodarki w lasach państwowych z punktu widzenia przyszłości lasów, ich użyteczności i wydajności.

Nasuwa się tu jednak problem pozornie poboczny, który stanowi zrozumiałą troskę o inne bogactwo narodowe, a mianowicie o gospodarkę łowiecką.

Musimy sobie dokładnie zdać sprawę, iż gospodarka bezzrębowa wprowadzi do lasów więcej „obcego życia i ruchu". Eksploatacja cząstkowa i zalesianie cząstkowe, kępowe, na wielkiej ilości stanowisk wśród tych samych ogólnie obszarów leśnych, wprowadzi do lasów piłę i siekierę, następnie konie i wozy oraz silniki ciągników przy zrywce drewna i jego wywózce w nieporównanie większej liczbie ostoi zwierzyny i wywoła w nich nieporównanie w większym stopniu niepokój. Jakkolwiek eksploatacja czy też zalesianie kępami terenu leśnego w wielu miejscach odbywać się będzie w stosunku do opracowywanej jednostki znacznie szybciej, niż na zrębach czystych, ze względu na znacznie mniejszy zasięg lokalny wykonania samej pracy, to jednak niepokój, jaki wniesie do lasu tak przeprowadzana praca eksploatacyjna czy też odnowieniowa, stanie się znacznie silniejszy, choć rozłożony potrosze tu i owdzie.



Z polowań Koła Miłośników Łowiectwa *fot. K. Cybulski*

Do dziś zwierzyna opuszczała okolice opracowywanego zrębu, lecz w pozostałych obszarach lasów znajdowała całkowity spokój.

Od dziś spokój ten będzie naruszany sporadycznie tu i tam, wypierając zwierzynę kolejno z coraz nowych partii lasu i zmuszając ją do wędrówek w poszukiwaniu ostoi i żerowisk zbyt często i zbyt nieustępliwie, niejednokrotnie wbrew jej charakterowi, potrzebom i nawykom.

Można powiedzieć, że zwierzyna znajdzie się w położeniu lokatora zmuszanego okolicznościami do ustawicznej zmiany zamieszkiwanego przezeń lokalu.

Miałem sposobność mówienia o tej kwestii na zjeź-

dzie nadleśniczych D.L.P. Okr. Bałtyckiego zaraz po ogłoszeniu omawianej zmiany w systemie gospodarki leśnej w Polsce. Już wtedy uderzyły mnie te wątpliwości i zmusiły do szukania sposobu rozwiązania tej strony zagadnienia, dotyczącej gospodarki łowieckiej, któryby mógł ujemny wpływ gospodarki bezzrębowej na bytowanie zwierzostanów osłabić, a nawet może całkowicie oddalić.

Moim zdaniem dla przeciwstawienia wpływowi tej rewolucji w gospodarce leśnej na bytowanie zwierzyny należałoby uświęcić pewne ustępstwa na jej rzecz. Mianowicie wydaje mi się, iż dałoby się ustanowić pełnoroczne (przynajmniej) rezerwaty nietykalne o większej powierzchni, do których ani siekiera, ani wóz, ani w ogóle ludzie nie mieliby prawa wstępu. Te okolicznościowe rezerwaty w miarę konieczności eksploatacyjno odnowieniowych, mogłyby się z roku na rok zmieniać co do ich miejsca i zasięgu, jednak zawsze powinny stanowić strefę życiową o pełnej wartości dla danych gatunków zwierzyny.

Jeśli chodzi o gatunki rzadkie, takie np. jak głuszec, a tak charakterystyczne dla fizjografii części ziem naszych, to ustępstwo to winno iść jeszcze dalej, dopuszczając pod względem eksploatacyjnym rezerwaty stałe, bowiem jest rzeczą wiadomą, że głuszce niepokojone w swych ostojach, a także w swych miejscach tokowych, zwłaszcza, gdyby się zmieniło ich naturalny charakter, bezwarunkowo wyniosą się, albo nawet — rzecz jeszcze gorsza — ulegną ograniczeniu w rozmnoży i wreszcie siłą rzeczy stopniowemu zanikowi.

Warto więc byłoby się zastanowić i nad tym, czy te nieliczne zresztą co do obszarów ostoje życiowe i tokowe głuszców koniecznie muszą być eksploatowane wogóle, czy też możnaby je ująć w nawias bez szkody dla ogólnej gospodarki leśnej.

Rozważania te chętnie pragnąłbym widzieć w krytyce dyskusyjnej znawców, myśliwych-hodowców-leśników, z tą wiarą, iż jednym z naczelnych zadań naszej pracy dla przyszłych pokoleń jest zachowanie równowagi w przyrodzie. Tam więc, gdzie egoistyczne, doraźne interesy ludzkie mogą kolidować z układem sił i życia w przyrodzie, rozum i rozwaga człowieka, nastawionego pokojowo do człowieka, musi zwrócić również jego myśl w kierunku nastawienia pokojowo rozwojowego w odniesieniu do stworzeń, znajdujących się bezpośrednio czy pośrednio pod jego pieczą i wpływami.

Współczesne idee łowiectwa są przepojone dostatecznie zrozumiałą troską o przyszłość zwierzostanów, z góry wyrzekając się w teraźniejszości doraźnych owoców osiągnięć pojętych egoistycznie, w stopniu nieograniczonym, dość bowiem świat poznał przykładów jak łatwo dochodzi się do wyniszczenia jakiegoś gatunku zwierząt — wyniszczenia niepowrotnego, wykluczającego ich restytucję.

Jakkolwiek temat, który dziś tu omawiam, nie stanowi aż tak niebezpiecznej groźby w stosunku do większości gatunków naszej zwierzyny, to jednak jest to jeden z momentów, który nasuwa porównania i analogię, który porusza przede wszystkim struny uczuciowe, ale jednocześnie zahacza i o gospodarczą doniosłość łowiectwa, i nie może być obojętnym zarówno dla myśliwego-hodowcy, jak i dla leśnika.

Zakończę te rozważania poglądem, iż eksploatacja bogactwa narodowego w jednej dziedzinie nie powinna zagrażać normalnemu rozwojowi i prawidłowej eksploatacji w innej dziedzinie, wszystko bowiem, co posiadamy w przyrodzie, winno być zawsze dostępne w całej pełni dla użytku człowieka.

Władysław Zabiełło.

STANISŁAW SOŁOKAJ.

DAR ŚW. HUBERTA

„Nadleśnictwo w Bierzwniku urządza w ramach walki z plagą dzików polowanie na grubszą zwierzynę". Podobna wiadomość mile łechce ucho myśliwego. Jego wyobraźni nasuwają się wizje stad dzików, pędzących spod naganki na strzał. Ogromne sztuki: odyńce, maciory, warchlaki, defilują między pniami odwiecznych pomorskich dębów i buków, rulując w ogniu od celnych strzałów szczęśliwca, któremu tego dnia Św. Hubert pobłogosławił. Tym szczęśliwcem jest zwykle on, marzyciel: strzela bez pudła, kładzie trupem stosy zwierzyny, jest królem polowania. Rzeczywistość jednakże rozczarowuje zwykle tych, którzy bujają w sferach marzeń. Lecz komu nie wolno marzyć? I który z myśliwych nie poddaje się czasami wpływowi imaginacji?

Polowanie. Pojechaliśmy, jak zwykle w swoim kółku. Ci sami ludzie, te same twarze zgranych towarzyszy łowów. Miejscem zbiórki był, jak zwykle, dworzec kolejowy i snuło się te same tematy w przedziale wagonu.

Dzień 25 stycznia był dniem wymarzonym: świeciło słońce, wiatr ledwie muskał wierzchołki drzew; cienka pokrywa śniegu topniała, czuć było zbliżające się przedwiośnie. Przyroda zdawała się przygotowywać do godów weselnych, do radości, używania i wyładowywania sił żywotnych w celu tworzenia nowego życia.

Wbrew tym hasłom przyrody, na szerokiej leśnej drodze, w światłocieniach porannego słońca stał łańcuch uzbrojonych ludzi, wpatrzonych w knieję. Z przeciwnej strony lasu, od czasu do czasu dolatywały głosy i nawoływania naganki. Tu czyhała śmierć...

Nagle w lesie powstał większy hałas. Ruszono grubszego zwierza. Humanitarne refleksje prysły jak bańka mydlana. Instynktownie mocniej ścisnąłem nasadę kolby. Za chwilę coś się miało stać. Tylko małe sikorki przefruwały z gałęzi na gałąź. Tylko gdzieś kuł dzięcioł, obojętny na wszystko, nie przeczuwając, że w tym czasie zadaje się gwałt prawom utrwalenia gatunku.

Z boku odezwał się głos ogarów i głośniejsze nawoływania naganki. Nagle buchnął strzał, przerywając ciszę leśną brutalnie. Po chwili odezwały się dwa ponowne strzały. Między pniami drzew zaczęły się ukazywać ludzkie postacie. Naganka dochodziła do linii strzelców.

Miot się skończył: ubito warchlaka.

Dalszych kilka miotów przeszło bez pozytywnych wyników, jakkolwiek zaraz w następnym miocie strzelano odyńca. Jego bure, wyliniałe cielsko, ukazało mi się na mgnienie oka, gdy się przemykał przez linię. Strzał był daleki, więc musiałem zrezygnować. Tylko z fotograficzną dokładnością wraziły mi się w pamięci jego bystre oczka i wielkie szable, wystające ponad górną szczękę. Z prawej strony huknęły raz po raz dwa gorączkowe strzały. Za chwilę jeden, po tym znów dwa. Po chwili ukazali się naganiacze. Odyniec zdołał umknąć.

Blade, styczniowe słońce, chyliło się ku zachodowi. Jeden z ostatnich miotów już się skończył. Myśliwi powoli schodzili ze stanowisk. Naganiacze zebrani w gromadę, o czymś żywo rozprawiali. Rozładowałem dubeltówkę i ruszyłem na miejsce zbiórki. Wysadzana wiśniami droga wiodła mimo spalonej gajówki, oddalonej o paręset metrów. Między zwartą ścianą młodych sosenek a gajówką było niegdyś uprawne, dziś leżące odłogiem, pole. Zniszczone pożarem i zmianami atmosferycznymi mury gajówki, rysowały się smutnie na tle lasu, położonego z przeciwległej strony polany. Z lewej strony drogi, młode, rzadkie brzózki, w obszernej dolinie mieszały się ze świerkami i przechodziły w zwarty gąszcz. W gąszczu tym odezwał się gdzieś głos psa. Ogary grały...

Myśliwi, którzy już zaczęli opuszczać stanowiska, rozproszyli się, by otoczyć zagajnik. Jeden z nich opuścił narożne stanowisko, wchodząc w głąb kniei. Nie zastanawiając się długo, zająłem jego miejsce, stając za pniem wiśni.



Koniec epopei... rys. B. Brzozowski

Naganiacze wraz z gajowymi, nie przerywając ożywionej rozmowy, tworzyli niepotrzebny hałas. Krzyknąłem chłopakom, by się uciszyli. Nastała cisza. Tylko gon psa wciąż się przybliżał w mym kierunku. Suche gałązki w gęstwinie trzaskały pod czyimiś nogami... Dłoń mocniej ścisnęła nasadę kolby... Trzask gałązek zaczął się oddalać, a wraz z nim granie ogara. Lufa strzelby opuściła się ku dołowi. Nerwy się odprężyły... Poszedł... Natarczywy głos ogara, to milknący na chwilę, to znów zakłócający ciszę leśną, oddalał się zwolna w przeciwną stronę.

Nagle huknął strzał. Buchnął, przelewając się przez dolinę; odbił się echem o większy las i przeskakując z polany na polanę, zamarł gdzieś w dali... Gon odezwał się znowu, tym razem równy: zwierz widocznie przestraszony szedł bez kluczenia, równo jak po nitce. Głos ogara zbliżał się, zbliżał się stale. Już go było słychać u skraju gęstwiny. Sąsiad mój z prawej strony, poruszył się niespokojnie w prawo, w lewo. Zwierz szedł na niego. Huknęły dwa strzały.

Przytulony do cienkiego pnia wiśni, który właściwie nie stanowił żadnej zasłony przed bystrym wzrokiem czujnego zwierza, musiałem być dlań widocznym jak na dłoni. Jednakże po strzałach czarne cielsko odyńca zmierzało w moim kierunku. O kilkanaście kroków z tyłu, gonił ogar, ciawkając zawzięcie.

Mocno ścisnąłem strzelbę w dłoni...

Czarne cielsko, omijając zręcznie pnie brzózek, toczyło się naprzód. W pewnym momencie musiał mnie zoczyć, gdyż zmienił kierunek: wypadł na drogę i krótkimi susami sadził szybko przez polanę. Złożyłem się. Muszka zawisła na łopatce... Nacisnąłem spust. Nie czułem targnięcia strzelby przy wystrzale. Rezultat strzału był widoczny: czarne cielsko zwinęło się w biegu; łeb nagle znalazł się w dole, ogon w górze. Odyniec zrulował przez łeb, jak zając.

Grono naganiaczy, stojąc o kilkadziesiąt kroków za mną, krzyknęło triumfalnie. Kilku wyrostków oddzieliło się od reszty i pędem podbiegło do ustrzelonej zwierzyny, okładając kijami drgające w śmiertelnych konwulsjach cielsko.

Kula Brenecke przeszła na wylot: weszła z prawej strony tuż przy łopatce, wyszła z lewej strony przed przednią łopatką, naruszając spód kręgosłupa i powodując paraliż.

Św. Hubert obdarzył mnie tego dnia szczególniejszą łaską.

Blade słońce coraz niżej chyliło się ku zachodowi. W krzakach ćwierkały ptaszki o przyszłych godach weselnych...

Spojrzałem na martwe cielsko odyńca... temu już nic nie potrzeba... nić jego żywota została przed chwilą przecięta... A jednak on też chciał żyć...

Koledzy składali mi gratulacje.

Niestety, nieubłaganym prawem przyrody jest walka o byt, w której triumf jednego osiąga się kosztem porażki drugiego.

Stanisław Sołokaj.

WACŁAW GER.

SREBRNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

Dotąd znałem lisy, że tak powiem, negatywnie, po prostu nigdy nie miałem z nimi bezpośredniego kontaktu. Nieraz ocierałem się już prawie o te dziwne zwierzaki, lecz wtedy pozostawiały one po sobie nie tyle smugę mało atrakcyjnego zapachu, co pewien moralny niesmak.

Zaczęło się to od zwykłych polowań. Gdy inni miewali na rozkładzie po jednym czy dwa lisy, na mnie takie bydle nie wychodziło nigdy. I mówią, że list jest chytry. Nieprawda, po stokroć nieprawda! Przecież gdyby lis na mnie wyszedł, z pewnością bym spudłował i niedoszła ofiara zdrowa i cała zwiałaby do nory.

Ale wolały one widocznie ginąć niż śmiać się z moich strzałów. Zwierzę co prawda głupie, lecz przyznać trzeba — szlachetne.

Potem, będąc w wojsku, znowu natknąłem się na tego łobuza. Czy państwo wiedzą, co to jest „bieg za lisem"? Galopuje sobie oficer z kitą lisa, przypiętą do ramienia, a kilkunastu innych idiotów pędzi za nim, by mu ten lisi ogon zerwać. Rzecz jasna, że nigdy tego nie dokonałem, chociaż wieczorem bywałem w kasynie lepiej urżnięty od zdobywcy ogona. Po co mi do tego lisi ogon?

Przeszły polowania i służba wojskowa, a lisy nie przestały mnie gnębić. Bo od czego są na sklepowych wystawach srebrne i niebieskie lisy, i od czego są to wszystko rozpłodowe srebrne lisy, nie przeznaczone na skórki. Dopiero te sztuki mają w sposób dość prosty, jak dotąd skutecznie stosowany zarówno przez ludzi jak i zwierzęta, stworzyć przyszłe pokolenie „skórodawców".

Lisy świeradowskie pochodzą z hodowli w jednym z państw bałtyckich. Każdy z nich posiada podobno swój piękny rodowód, co do czego można mieć pewne zastrzeżenia z punktu widzenia demokratycznego, lecz co jest konieczne z punktu widzenia hodowlanego.

A poza tym, co taki lis stawia za wymagania swemu hodowcy! Ten kudłaty luksus musi „trzymać wagę", co najmniej jak bokser przed zawodami i musi



Srebrny lis z hodowli w Świeradowie

niebieskie oczy przyjaciółki? Długo broniłem się jak lew. Tłumaczyłem jej, że nasza miłość jest idealna, że szczęścia nie można kalać dobrami doczesnymi. Niestety, dusza poety uległa, bo ulec musiała. Zresztą moje załamanie moralne wypadło stosunkowo niedrogo. Blankiety wekslowe — 9 złotych, koszta protestu zapłacił Apfelbaum, a zaraz po tym wybuchła wojna i nieco się dookoła zmieniło.

Została jedynie moja awersja do lisów, zwłaszcza do srebrnych i niebieskich. W przyszłości pewnie i do platynowych, bo i takie, na zgubę rodu męskiego, ukazały się na świecie.

Co w tych warunkach skusiło mnie do zwiedzenia farmy srebrnych lisów—trudno odgadnąć. Może jakaś wewnętrzna przekora, a może po prostu potworna nuda, jaka była moim nieodłącznym towarzyszem w czasie samotnego i poronionego w pomyśle pobytu w Świeradowie Zdroju. Miejscowość zresztą ładna i podobno nawet pożyteczna, ale na jaką itd. ja tam pojechałem — tego nie wie nikt. Zresztą „to już zupełnie inna historia", jak swego czasu powiedział niejaki Kipling.

Na górze, powyżej uzdrowiska, mieszka sobie taki młody człowiek, który, sądząc ze starego munduru i nie lichych odznaczeń bojowych, bił niedawno hodowanych Niemców, a teraz zamierza bić hodowane lisy. Niewiele ma jeszcze tego tałałajstwa, bo od niedawna zaczął swój szatański proceder, ale w kilku klatkach o dużych wybiegach siedzi sobie lisie towarzystwo. Są mieć odpowiednią długość ogona do reszty tułowia (nie porównywać z bokserem!). I jeść mu trzeba dawać jakieś strasznie wymyślne cuda i to inne dla każdego wieku i okresu.

Mimo takich szykan ze strony lisich arystokratów mój świeradowski hodowca jest dobrej myśli. Od pracy się nie uchyla (dziwny człowiek), bo wie, że w takiej na przykład Norwegii właśnie małe hodowle, prowadzone przez zwykłych farmerów w warunkach chowu gospodarskiego, dają najlepsze wyniki.

W hodowli świeradowskiej znalazły się zresztą poza lisami dwa inne kudłacze. Jest to para śmiesznych i żywych wyder. W przyszłości i one mają przynieść niejedną złotówkę swemu panu, a chwilowo świetnie się bawią z łaciastym spanielem. Co prawda spaniel nie bardzo rozumie czemu jego pan każe mu przebywać w tak dziwnym towarzystwie, ale jego mądre oczy mówią wyraźnie: „Trudno, business is business".

Młody hodowca długo i ciekawie opowiadał mi o swych planach, a z klatek patrzyły na mnie chytrze i złośliwie błyszczące oczka lisów.

Nie, drogie liski, ja się nie nauczę was lubić. Jesteście ładne w klatkach, jesteście piękne na ramionach ładnej kobiety, lecz jesteście groźne, gdy leżycie na wystawie, do której się zbliża mężczyzna z ładną kobietą o gołych ramionach.

Wacław Ger.

WOLIEROWA HODOWLA BAŻANTÓW

W warunkach przedwojennych wolierowa hodowla bażantów sensu stricto, t.zn. hodowla w zamkniętych wolierach przez cały rok lub też większą część roku, była zjawiskiem stosunkowo rzadko spotykanym na naszych ziemiach. Obfitość bażantów w wielu łowiskach, należycie zagospodarowanych i troskliwie ochranianych, czyniła ją zbędną. Hodowla wolierowa, z natury rzeczy kosztowna, nie wytrzymywała konkurencji z hodowlą na dziko lub na pół dziko, znacznie tańszą i łatwiejszą i mającą w dodatku te wszystkie walory, jakie każdej hodowli daje nie oddalanie się od praw natury. Woliery, istniejące w każdej prawie bażantarni, służyły dlatego też przeważnie tylko przez krótki okres roku celom hodowli młodych bażantów, jak wiadomo, bardzo wrażliwych na złe warunki atmosferyczne lub też celowi przetrzymywania bażantów, (przeważnie zresztą kur bażancich) przez krytyczny okres zimowych miesięcy. Produkcja jaj w wolierach była już zupełnym wyjątkiem. Poza ogrodami zoologicznymi, gdzie właściwie o hodowli na szerszą skalę nie może być mowy, zachodziła ona sporadycznie, przeważnie w przypadku chęci rozmnożenia cennych gatunków bażantów i utrzymania czystości krwi ich potomstwa.

Jak w wielu innych dziedzinach, tak i w omawianej kwestii wolierowej hodowli bażantów, wojna i spowodowane nią straty zmuszają nas do krytycznej rewizji ustalonych poglądów i utartych, na tradycji opartych, przyzwyczajeń i nawyków.

Jesteśmy bowiem świadkami prawie kompletnego wyginięcia bażanta w naszych łowiskach. Nie ma go już prawie zupełnie na terenie środkowej i południowej Polski, ocalało go trochę na zachodzie. Repopulacja opustoszałych łowisk jest niemożliwa z powodu kompletnego braku materiału hodowlanego, nie sposób dostać ani żywych bażantów, ani w sezonie jaj bażancich. Perespektywy importowe są pono też więcej niż nikłe, nie mówiąc o tym, iż obecna nasza sytuacja gospodarcza doprawdy nie dozwala nam na drogi import z zagranicy bażantów czy jaj bażancich, w obliczu niezbędnie nam potrzebnego importu dóbr inwestycyjnych.

W tych warunkach jedynym wyjściem z rozpaczliwej doprawdy sytuacji na odcinku hodowli bażantów jest oparcie się na istniejących w kraju resztkach materiału hodowlanego. Należy go za wszelką cenę uratować od zagłady oraz zużytkować możliwie produkcyjnie.

Nie łudźmy się. Tu nie pomogą przedłużone terminy ochronne czy nawet całkowity zakaz odstrzału bażantów. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, iż tego rodzaju zakaz, o ile nie będzie poparty konstruktywnymi zarządzeniami, będzie raczej szkodliwy niż pożyteczny: zwierzyna, na którą nie wolno wogóle polować, przestaje interesować myśliwego! Podkreślam — myśliwego, a nie hodowcę. Ale czyż nie przeważają u nas, niestety, myśliwi nad hodowcami?

Poza tym powszechnie wiadomo, iż bażant, ptak z natury głupi i nieostrożny, wymaga pieczołowitej ochrony łowiska. Ochrony tej w chwili obecnej z wielu powodów nie sposób zapewnić. Ogromnie przerzedzone wojną ocalałe jeszcze gdzieniegdzie resztki bażantów, o ile pozostawimy je na swobodzie, będą nadal topniały, do czego przyczyni się jeszcze znany każdemu hodowcy bażantów pęd ptaków do migracji z łowiska. Przed wojną, w warunkach pewnego nasycenia terenu bażantami, odpływ spowodowany migracją bażantów kompensował się często przypływem z sąsiednich łowisk. Dziś jest, niestety, inaczej; każda ucieczka bażanta, tego znanego poszukiwacza przygód, z nielicznych łowisk — oaz, cieszących się dziś jeszcze posiadaniem tego pięknego ptaka, to bezpowrotna strata.

Dlatego też uważam, iż bezwarunkowo — w imię utrzymania bażanta, jako zwierzyny łownej i umożliwienia stopniowej repopulacji nim naszych łowisk — należy wykorzystąć nadchodzący okres zimowy dla możliwie szeroko zakrojonego odłowu bażantów do wolier w celu zabezpieczenia materiału hodowlanego dla wolierowej produkcji jaj wiosną 1949 r. Przypuszczam zresztą, iż opłaciło by się również odłowić pewną ilość kuropatw i przetrzymać je w bezużytecznie niszczejących obecnie wolierach, aby uzyskać w ten sposób trochę materiału do obsady łowisk polnych wiosną przyszłego roku. Wolierowa produkcja jaj kuropatwich nie wchodzi oczywiście w grę jako nie możliwa, a chodzi jedynie o uniknięcie strat zimowych w tak szczupłym wciąż jeszcze na wielu terenach pogłowiu kuropatw.

Zimowy odłów bażantów (i kuropatw) na śniegu jest rzeczą tak znaną i łatwą, iż nie wymaga chyba w ogóle omawiania. Co tyczy się natomiast wolierowej hodowli bażantów, szczególnie w celu produkcji jaj bażancich, jest to już sprawa szerokiemu ogółowi myśliwych mniej znana. Dlatego też pozwolę sobie pokrótce naszkicować w paru wierszach podstawowe wymogi tej hodowli oraz trudności, na jakie ona natrafia.

Na podstawie własnych doświadczeń, uzyskanych przed wojną na terenie powiatu garwolińskiego przy prowadzeniu bażantarni zarodowej, produkującej w wolierach na sprzedaż jaja bażantów czystej krwi dwóch gatunków (Mongoły oraz Tenebrosusy, te ostatnie z importów węgierskich nabytych od firmy „Mavad"), mogę stwierdzić, iż hodowla dorosłych bażantów w wolierach, a szczególnie produkcja pełnowartościowych jaj, nie nastręcza niepokonalnych trudności. Najwięcej kłopotów — co może niejednego w pierwszej chwili zdziwić — miałem właśnie z wychowem kilkutygodniowej młodzieży na łące.

Młode bażanty bowiem, z chwilą dostawania pałek w ogonach, zaczynają je sobie w nagminny sposób wydziobywać, kalecząc się przy tym w sposób okropny, i na to doprawdy nie ma żadnej rady przy trzymaniu ich w skupieniu w wolierach, co ponadto sprzyja ogromnie masowemu występowaniu wszelkich chorób.

Bażanty dorosłe natomiast aklimazują się w wolierach bardzo szybko. Odnosi się to nie tylko do bażantów, pochodzących z własnych legów. a więc do pewnego stopnia oswojonych. ale i do egzemplarzy, sprowadzonych prosto z lasu, gdyż i w tym kierunku ro-

biłem próby, produkując jaja „pół — krwi" z kogutów Mongołów i kur pospolitych z hodowli na dziko.

O wymiarach wolier pisać nie będę, gdyż w obecnych warunkach nie będziemy przecież budowali nowych, a wykorzystamy istniejące, w których marnuje się bezużytecznie poważny, zainwestowany w nie kapitał. Wspomnę tylko, że jestem zwolennikiem wysokich wolier (około 180 cm), jako znacznie łatwiejszych do obsługi przez bażantarnika. Niebezpieczeństwu rozbijania się bażantów o górną siatkę zapobiega się w sposób skuteczny drogą nakładania im na skrzydła specjalnych pęt, co jest kłopotliwe, kosztowne i dla ptaka męczące, albo znacznie prościej, przez obcinanie końca lotek w jednym skrzydle (byle nie w obu), co powoduje, że ptak przy usiłowaniu wzlatywania w górę traci równowagę i opada na ziemię, zataczając przy tym śmieszną piruetę. Ujemną stroną tego znakomitego w swej prostocie systemu jest to, iż pozbawiamy ptaka w sposób trwały na dłuższy okres czasu możności latania, co nie jest bez znaczenia przy często stosowanym systemie wypuszczania bażantów w teren zaraz po ukończeniu sezonu składania jaj.



Kura bażancia w lesie — *fot A. Wiśniewski*

W wolierach winny być daszki, chroniące ptaki przed słotą i żarem słońca. Pod daszkami nie potrzeba robić grzęd, gdyż bażant w wolierze, tak samo zresztą jak i na wolności, śpi chętnie również i na ziemi, a grzęda mu nie zastąpi nigdy iglastego drzewa, będącego w warunkach swobody ulubionym miejscem noclegu. Natomiast bezwarunkowo należy zapewnić mieszkańcom wolier możność pewnego ukrycia się w nich, co uzyskamy albo drogą sadzenia w wolierach świerków, jałowców itp. albo po prostu prze ulokowanie gdzieś w kącie paru snopków prostej słomy, trzciny czy nawet faszyny. Poza godną pochwały chęcią dogodzenia naszym pensjonariuszom uzyskamy w ten sposób zmniejszenie ilości przypadków tak przykrego często rozbijania się ptaków o boczne ściany woliery, przy koniecznym odwiedzaniu jej przez bażantarnika dla podawania pokarmu, uprzątania wolier, podbioru jaj itp.

W wolierach osadza się bażanty w kompletach, liczących najlepiej 1 koguta na 4 kury. Bażanty rozpoczynają toki w kwietniu; w praktyce mojej prawie co roku pierwsze jajko miało jak gdyby charakter prezentu imieninowego, gdyż pojawiło się akurat w dniu 11 kwietnia. Okres największego nasilenia nieśności jaj przypada z reguły na ostatnie dni kwietnia i pierwsze dwie dekady maja. Sezon znoszenia jaj trwa jednak przy odpowiednim żywieniu bażantów w wolierach i codziennym usuwaniu jaj — znacznie dłużej, bo do połowy, a często nawet do końca czerwca. W wielu przypadkach bywałem po prostu w kłopocie jak przerwać tę niepożądaną już, z uwagi na spóźniony termin, produkcję jaj, osłabiającą tylko kury, które wówczas z powodu ciągłego deptania przez koguta miały ogołocone z piór plecy. Usunięcie z woliery koguta skutkowało oczywiście dopiero po pewnym czasie.

Produkcję wspomnianych wyżej jaj „pół — krwi" przerywałem wcześniej, w końcu maja lub z początku czerwca, wypuszczając wieczorem cały komplet w teren, celem umożliwienia kurom wyprowadzenia jeszcze na wolności kilku sztuk małowartościowego, bo spóźnionego potomstwa. Bażanty czystej krwi trzymałem przez cały rok w wolierach, gdyż łowisko, z uwagi na specyficzne warunki powiatu garwolińskiego, a między innymi wspomniane małe nasycenie terenu bażantami, nie nadawało się do uprawiania na szeroką skalę hodowli na dziko. Poza tym hodowałem dwa gatunki bażantów, krańcowo różniących się upierzeniem, wielkością i innymi cechami, a chodziło mnie o utrzymanie czystości krwi. Pewną ilość bardzo starych, a zatem mało produktywnych kur, wypuszczałem jednak w teren, gdzie oba gatunki krzyżowały się między sobą, jak również z pospolitymi bażantami łownymi.

Mimo wspomnianego wyżej trzymania bażantów w niewoli przez parę lat, nie zauważyłem u nich ani u ich potomstwa żadnych specjalnie ujemnych objawów. Produkowałem bażanty rosłe i zdrowe, produkcja jaj była wysoka, wynosząca średnio po dwadzieścia kilka jaj na kurę, a przekraczająca często liczbę trzydziestu jaj w sezonie. Zapłodnianie jaj było dobre, wyjąwszy sporadyczne wypadki, spowodowane wyraźną niepłodnością koguta oraz biorąc pod uwagę, iż zapłodnienie jaj w końcowym okresie ich składania,

tj. w końcu maja do początków czerwca, było zawsze znacznie niższe niż w początkach i środku sezonu.

Szczegółowe .opisanie sposobu żywienia bażantów przy hodowli wolierowej przekracza ramy tego artykułu. Odsyłając zainteresowanych do literatury fachowej, wspomnę tylko, iż musi ono być intesywne i możliwie urozmaicone. Bażant, wbrew mniemaniu wielu, jest ptakiem mięsożernym (spróbójcie do woliery wpuścić mysz lub żabkę), stąd konieczność dostarczania mu, szczególnie w okresie toków i nieśności, a również przy wychowie młodych, dużej ilości mączki mięsnej oraz wapna i fosforu. Unikać należy pokarmów tuczących. Dużą trudność sprawia dostarczanie w potrzebnej ilości szczególnie zimą i wczesną wiosną, pokarmów, obfitujących w witaminy. Sałatka inspektowa tu nie wystarcza, a poza tym jest kosztowna. Dobre usługi oddaje jarmuż i kapusta pastewna, poza tym buraki i marchew oraz suszone pokrzywy, lucerna itp.

Prowadzona przezemnie hodowla wolierowa bażantów czystej krwi opłaca się znakomicie; mimo dużą konkurencję jaj z hodowli na dziko, oferowanych na rynku po znacznie niższych cenach, nie mogłem nigdy sprostać zamówieniom, mimo produkcji kilku tysięcy sztuk jaj w sezonie.

Bażantarnia, chociaż prowadzona wyraźnie na dochód i systemem utrzymywania bażantów produkcyjnych przez cały rok w wolierach, wywarła jednak wyraźnie dodatni wpływ na okoliczne łowiska, zasilając je bażantami, wypuszczanymi na wolność po odbyciu dwuletniej, a najwyżej trzyletniej „służby" w wolierach.

Naszkicowałem powyżej w krótkości wolierową hodowlę bażantów, prowadzoną przeze mnie przez kilka lat w Borowiu koło Garwolina, a którą w pełni rozkwitu zlikwidował wrzesień 1939 r. Zadaniem tej notatki nie była chęć uczynienia rewelacji z rzeczy, znanych dobrze każdemu hodowcy bażantów, a nawet przeważającej liczbie naszych myśliwych. Chodziło mnie po prostu o zwrócenie uwagi kompetentnych władz oraz szerokiego ogółu braci myśliwych na konieczność ratowania bażanta, tej ozdoby naszych jesiennych polowań i o wskazanie jedynie skutecznej po temu, zdaniem moim, drogi.

Posiadamy wiele wolier, marnujących się bezużytecznie oraz kadry fachowców od hodowli bażantów, przeważnie na zachodzie. Czas najwyższy pomyśleć o ratowaniu resztek pogłowia bażanciego i o celowym zużytkowaniu go dla repopulacji naszych łowisk. Cel ten uzyskać można drogą rozpoczęcia hodowli wolierowej oraz wolierowej produkcji jaj, gwarantującej maksimum efektu i minimum strat. Ale zaczynać trzeba jak najszybciej, aby wyzyskać sezon zimowy bieżącego roku dla akcji odłowu bażantów.

L. Popławski

Warszawa, listopad 1948 r.

LEON RZYSZCZEWSKI.

Z BIOLOGJI LISA

Nawiązując do mojego krótkiego, popularnego opisu lisa, który ukazał się w „Łowcu Polskim", nr. 5 z 1947 r., pozwalam sobie dodać kilka uzupełnień, ażeby wedle możności uprzedzić i zadowolnić moich szanownych krytyków.

Prostuję więc moje nadto apodyktyczne twierdzenie, jakoby lis karmił się wyłącznie mięsem. Należało by powiedzieć „przeważnie". Istotnie bowiem lis w czasie dojrzewania owoców zbiera niektóre jagody leśne, a w sadach i alejach polnych opadłe owoce, jak: wiśnie, śliwki, jabłka itp., zaś w krajach cieplejszych, gdzie rośnie winorośl, zwiedza winnice i obrywa winne grona. Posługują się tym motywem nawet bajki o „kwaśnych winogronach". Prócz tego lis, tak jak pies, używa czasem trawy, jako zabiegu leczniczego przy zaburzeniach żołądkowych.

Należąc do rodziny psów, lis posiada dużo cech wspólnych z nimi. Ten sam u nich kościec i uzębienie, podobny wszystkożerny sposób pożywienia, prawie identyczny kierunek popędu rozrodczego, objawiający się jak u psów przez nabrzmiewanie organów płciowych z krwawą wydzieliną u samic, z tą różnicą, że u lisów, jak u większości zwierząt dzikich, ruja (cieczka) występuje tylko raz na rok i trwa przez kilka tygodni w przeciągu miesięcy stycznia i lutego, ten sam u lisów jak u psów sposób spółkowania i 60-dniowy okres nośności, poród 4—6 szczeniąt, ślepych przez 2 tygodnie. Wreszcie lisy ulegają podobnym jak psy chorobom, np. parchy i wścieklizna. Podobny też u obydwu gatunków sposób sygnalizacji przez oddawanie moczu w miejscach podpadających jak kamienie, pole itp.

Mało który zwierz jest tak szeroko rozprzestrzeniony jak lis, zamieszkujący całą Europę i większą część Azji, tj. Syberię, Mongolię, Koreę, Afganistan, Persję, Turcję i w ogólności Azję Mniejszą. Dalej na południu zastępuje lisa pokrewny mu szakal. W Afryce spotykamy lisa na północnym zachodzie w Tunisie, Algerze i w Maroku aż po Saharę. W środkowej i południowej Afryce występuje odmiana pustynnego lisa: fenek.

Lis zamieszkuje również cały kontynent Ameryki. Głównym jednak siedliskiem jego są strefy umiarkowane i północne Europy, Azji i Ameryki. Na północy Europy, Azji i Ameryki trafiają się, oprócz zwykłego lisa rudego, jeszcze dwie odmiany: lisy czarne i białe, różniące się od zwykłego przeważnie tylko umaszczeniem. Lis biały, polarny Canis Vulpes Lagopus, spotyka się w Finoskandii i północnej Rosji, w północnej Kanadzie i Alasce, na północy Syberii, zaś na wyspach wód arktycznych, jak: Grenlandia, Spitzbergen, Wyspy Niedźwiedzie i Jan Mayen, jako jedyna odmiana. W Norwegii biały lis polarny zamieszkuje masywy górskie ponad granicą zalesienia (powyżej 800 m wzniesienia nad poziomem morza) o arktycznym klimacie (ponad 6 miesięcy zimy). Biały lis z nastaniem krótkiej pory ciepłej, jak większość fauny arktycznej, zmienia białą szatę zimową na futerko letnie, koloru popielato-płowego, podobnie jak zając zmienny czyli bielak.

Lis czarny (srebrny) trafiał się w Ameryce w północnej Kanadzie i w Alasce, w Azji zaś na wschód od Uralu na tundrach Syberii, skąd w dorzeczu Amuru ponad brzegami Cichego Oceanu docierał aż po Koreę. Mówię tu w czasie przeszłym, gdyż ogromny popyt na drogocenne futro i spowodowane przez to intensywne prześladowanie, doprowadziło do zupełnego zaniku tej odmiany lisa w dawnych jego znaleziskach. Niektórzy dawniejsi autorowie amerykańscy twierdzili, że lis czarny nie stanowi odrębnej odmiany, a trafia się w normalnym rzucie rudych lisów jako wypadek melanizmu. Przypadki częściowego melanizmu występują istotnie dość często pośród rudych lisów, nader rzadko zaś przypadki albinizmu. Jednakże liczne doświadczenia ze sztucznej hodowli czarnych lisów dowodzą niezbicie, że czarny lis przedstawia odmianę odrębną, która w czystym chowie reprodukuje

się stale i bez nawrotów. Albowiem nieustający popyt na skórki czarnych lisów sprawił, że w miarę jak czarne lisy na swobodzie w Ameryce stawały się coraz rzadsze, zapoczątkowano tam sztuczny ich wychów. Znamienną ozdobą czarnego lisa stanowi długi czarny włos, który w miarę dojrzewania lisa traci w czubkach tych włosów czarny pigment i bieleje. Proces ten nadaje pięknemu futerku połysk srebrzysty, jakby oszroniony. Skórki takie znane są i wysoko cenione pod mianem srebrnych lisów.

Amerykańska hodowla czarnych lisów w tzw. fermach lisich, założona przez zasobne stowarzyszenia, rozszerzyła wkrótce swą działalność przez sprzedaż materiału hodowlanego, tj. par dorosłych osobników na zapoczątkowania nowych hodowli. Niebawem zainteresowała się Europa tym nowym przedsiębiorstwem sztucznej hodowli lisów czarnych i zwierząt futerkowych w ogólności. Już w samych początkach tego nowego przedsiębiorstwa wyłoniło się zasadnicze pytanie, czy zgoła odmienne od północno-amerykańskich warunki klimatyczne strefy umiarkowanej, nie będą oddziaływać ujemnie na jakość futerka czarnych lisów. Otóż właśnie Norwegia przedstawia niebywale bogate pole doświadczalne dla zasadniczego rozstrzygnięcia tej kwestii. Znajdujemy tam bowiem wybór wszelkich możliwych różnic klimatycznych, od polarnego klimatu centralnych obszarów wysokogórskich i północnych wybrzeży Morza Lodowatego, poprzez umiarkowany klimat dystryktów południowych, aż do specyficznie oceanicznego klimatu wybrzeża, wysp i skerów zachodniej dzielnicy. Ogólnie mówiąc, doświadczenia poczynione w Norwegii, dowiodły, że względna łagodność klimatu nie wywiera ujemnego wpływu na jakość skórek hodowanych tam lisów. Można je zatem hodować gdzie bądź w strefie umiarkowanej.

Ciekawe były poniekąd rezultaty hodowlane w zachodnich dzielnicach, a zwłaszcza na słabo zaludnionych lub całkiem bezludnych wyspach i skerach, otoczonych falami Atlantyku. Miejscowości te odznaczają się specjalnie niezwykle niską amplitudą, tj. różnicą między najwyższą temperaturą lata i najniższą zimy. Na niektórych z tych wysp różnica ta nie przekracza pięciu centygradów, podczas kiedy w pobliżu bieguna zima w obwodzie jakuckim, w północnej Syberii w dorzeczu Leny, amplituda roczna wynosi ponad 100 centygradów, od — 65 stopnia zimą do 45 gorąca latem. Wyspy te przedstawiają więc wręcz antytezę klimatu polarnego o bardzo znacznej amplitudzie. Klimat atlantycko - oceaniczny wydaje się człowiekowi raczej niemiły, a wyrażając się dosadnie, wręcz paskudny. Nie ma tam bowiem ani uczciwej zimy, ani porządnego lata, zaś opady, przeważnie w postaci deszczów, obfite; często przy tym panują porywiste wichry.

Wiedziano jednak już od wieków, że zwierzęta futerkowe i wełniste, szczególniej prosperują w takich warunkach. wiadczą o tym prowadzone od dawien dawna hodowle owiec na wełnę na Wyspach Owczych, wyspach szkockich, Islandii, całym obszarze wysp brytyjskich, a również i na wyspach norweskich. Z punktu widzenia ekonomicznego wychów lisów na zachodnich wyspach norweskich przedstawia się nader korzystnie. Niemożność ucieczki lisów z obrębu wysp usuwa konieczność kosztownego grodzenia. Cała instalacja ogranicza się do ustawienia kilku budek, jako schronów przed niebezpieczeństwem i dla samic, ażeby mogły zakładać gniazda. Odpada kłopot dożywiania, gdyż lisy znajdują tam wielką różnorodną obfitość sprzyjającego im pożywienia, mianowicie na brzegach morskich moc mięczaków, krabów, raczków i ryb wyrzuconych przypływem zaś tłumy gnieżdżącego się tam ptactwa morskiego, dają lisom sposobność rabowania jaj i piskląt. Z drobnych ssaków obfitują tam lemingi. Odbywa się więc ta hodowla całkiem na dziko, co również ma wpływ dodatni na kondycję wychowanków. Nie ma nawet potrzeby stałego dozoru i wystarczają zupełnie periodyczne zwiedzania. Jedynym możliwym wrogiem jest orzeł morski (Haliaetos albicilla) czyli bielik. Nic dziwnego, że przy tak nieznacznym wkładzie i warunkach idealnych — przedsiębiorstwo wychowu daje tam duże zyski.

Wychowem czarnych lisów zajmują się w Norwegii zasobne stowarzyszenia udziałowe, zakładając specjalne fermy lisie, gdzie indywidualne pomieszczenie, karmienie i łączenie lisów odbywają się pod ścisłą kontrolą. Odnośnie karmienia, najodpowiedniejszym pożywieniem okazały się przeroby mączne jako podstawa z domieszką suszonego mięsa i odpadków rybnych. Spotykamy tam jednak obok tej regularnej, standartowej hodowli, wymagającej znacznej inwestycji początkowej, również skromną hodowlę włościańską, która w braku kapitału zakładowego rozpoczyna wychów indywidualny po domowemu i na wpół dziko. Ludność, zamieszkująca wybrzeża i wyspy, rozpoczyna bardzo często wychów indywidualnie, chowając lisy jako zwierzęta domowe. Są to na ogół ludzie biedni, którzy tylko latem gospodarują na swych działkach, a przez zimę trudnią się spółkowym rybołówstwem morskim.

W domu pozostają zimą tylko starcy, kobiety i dzieci. Rząd norweski, kierujący się od dawna zasadami demokratycznymi, popiera hodowlę włościańską, przydzielając włościanom materiał hodowlany na dogodne ratalne spłaty amortyzacyjne. Zwiedzając takie gospodarstwo, widzi się w kuchni młode lisy, które jak pieski wyczekują na swój udział z pozostałości ze stołu. Oczywiście lisy chowane w ten sposób oswajają się zupełnie. Młode lisy zimą prawie nie wychodzą z ciepłej kuchni, starsze, korzystając w pewnej mierze ze swobody, przecież przestrzegają sumiennie pory obiadowej i zazwyczaj na noc powracają do domu. Rozumie się, że nieraz muszą zdarzać się wypadki skrzyżowania z dzikimi pobratymcami, i że w ogóle łączenie poszczególnych osobników bywa raczej przypadkowe.

L. Rzyszczewski.

Pokaz wyżłów ras kontynentalnych w Tucholi

Po porozumieniu się z doktorem Janem Łukowiczem z Chojnic, nestorem kynologii na Pomorzu i w Polsce, urządziła sekcja kynologiczna na powiat tucholski, reprezentowana przez leśniczego Stefana Orlikowskiego, przy czynnym poparciu łowczego powiatowego, mecenasa Hoppego, pierwszy, powojenny pokaz wyżłów dowodnych w Tucholi.

Pokaz urządzono w celu wyeliminowania z hodowli psów wadliwych oraz zainteresowania myśliwych hodowlą, ułożeniem i doborem odpowiedniej rasy psa.

Nadmieniam, że ostatni pokaz psów urządzono w Tucholi w sierpniu 1939 r. przed wybuchem wojny i to w ramach „Tygodnia Borów Tucholskich".

Wskutek działań wojennych zginęły wszystkie wyżły i nie pozostało nawet potomstwo po nich. Myśliwi borów tucholskich pozostali bez nieodzownego towarzysza łowów — psa dowodnego. Że nie pozostali jednak bezczynni, świadczy o tym fakt, że członkowie PZŁ. powiatu tucholskiego zakupili w tym roku i przedstawili 8 młodych wyżłów, a oprócz tego 3 wyżły starsze od 1—5 lat nabyte w poprzednich 2 latach.

Do komisji kwalifikacyjnej powołano dra Jana Łukowicza, jako przewodniczącego, a na członków leśniczych: Egona Raszkego i Stefana Orlikowskiego.

Przedstawione psy otrzymały następującą ocenę:

A. Psy starsze:

1) **Pies „Tell"**, wiek 5 lat, rodzice nieznani (pochodzi z rąk niemieckich) uwłosienie krótkowłose, maść brązowo-szara, wysokość 65 cm, o silnej budowie, lecz nieco spadzistym zadzie, własność p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, otrzymał ocenę „dostateczną z prawem użycia jako reproduktora".

2) **Suka „Diana"**, wiek 1 rok, rodzice: matka „Afra" p. Kozłowskiego z Chojnic, ojciec „Pirat" p. Troki z Chojnic, uwłosienie krótkowłose, maść brązowa białe łaty brązowo nakrapiane, wysokość 53 cm, o również nieco spadzistym zadzie, własność p. Mariana Borkowskiego z Piastoszyna; otrzymał ocenę „dostateczną", z zastrzeżeniem pokrywania jej przez psa, nie posiadającego powyższej wady.

3) **Suka „Bella"**, własność p. Otolińskiego z Tucholi, została od oceny wyeliminowana, z powodu zauważonych oznak degeneracji.

B) Psy młode:

4) **Pies „Lord"**, wiek 5 miesięcy, rodzice: matka „Donia" p. Klukowskiego z Chojnic, ojciec „Hektor" p. Grzybowskiego z Chojnic, uwłosienie krótkowłose, maść brązowa, biało-szare łaty, brązowo nakrapiane, wysokość 46 cm, własność mecenasa Stanisława Hoppego z Tucholi — bez oceny.

5) **Pies „Reks"**, wiek 5 miesięcy, rodzice: matka „Donia" p. Klukowskiego z Chojnic, ojciec „Hektor" p. Grzybowskiego z Chojnic, uwłosienie krótkowłose, maść biała, brązow nakrapiana, mniejsze brązowe łaty, wysokość 46 cm, własność p. Leona Gierszewskiego z Tucholi — bez oceny.

6) **Suka „Zenta"**, wiek 4 miesiące, rodzice: matka „Leda" p. Meisnera z Tucholi, ojciec „Tell" p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, uwłosienie krótkowłose, maść biało-brązowa, białe łaty brązowo nakrapiane, wysokość 42 cm, własność p. Dobka Bolesława z Tucholi — bez oceny.

7) **Suka „Kora"**, wiek 4 miesiące, rodzice: matka „Leda" p. Meisnera z Tucholi, ojciec „Tell" p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, uwłosienie krótkowłose, maść biało-brązowa, brązowo nakrapiana, wysokość 47 cm, własność p. Eugeniusza Wiktorowicza z Tucholi — bez oceny.

8) **Suka „Serra"**, wiek 4 miesiące, rodzice: matka „Leda" p. Meisnera z Tucholi, ojciec „Tell" p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, uwłosienie krótkowłose maść szaro-bronzowa, wysokość 43 cm, własność p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi — bez oceny, z nadmienieniem, że zapowiada się bardzo dobrze.

9) **Pies „Mordek**, wiek 4 miesiące, rodzice: matka „Leda" p. Meisnera z Tucholi, ojciec „Tell" p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, uwłosienie krótkowłose, maść biała brązowa, nakrapiana, mniejsze brązowe łaty, wysokość 47 cm, własność ks. dra Szczęśniaka z Mędromierza, p. Tuchola—bez oceny— z nadmienieniem, że zapowiada się bardzo dobrze.

10) **Suka „Kora"**, wiek 4 miesiące, rodzice: matka „Leda" p. Meisnera z Tucholi, ojciec „Tell" p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, uwłosienie krótkowłose, maść brązowo-szara, drobno nakrapiana, wysokość 41 cm, własność dra Pickelsa z Tucholi — bez oceny.

11) **Pies**, „———wiek 4 miesiące, rodzice: matka „Leda" p. Meisnera z Tucholi, ojciec „Tell" p. Władysława Ostrzyckiego z Tucholi, własność p. Kalasa z Tucholi — z powodu zbyt osiadłego przodu wyeliminowany.

Przedstawiony młody narybek w wieku od 4—5 miesięcy zrobił na ogół dodatnie wrażenie i pochodził w sześciu wypadkach z hodowli p. Meisnera z Tucholi, z matki „Ledy", pokrytej przez „Tella" p. Ostrzyckiego.

Żałować należy, że z powodu zmiany miejsca zamieszkania właściciela „Ledy", nie mogła być przedstawiona matka tych młodych wyżłów. Dwa dalsze młode psy, to narybek z hodowli p. Klukowskiego z Chojnic. Tak matka jak ojciec tych wyżłów, stawały w zeszłym roku na pokazie wyżłów w Chojnicach.

Od oceny młodych wyżłów komisja odstąpiła ze względu na ich zbyt młody wiek, oraz że mogą się w przyszłości niektóre błędy wyrównać, względnie więcej rażąco wystąpić.

Na zakończenie podziękował przewodniczący, dr Jan Łukowicz, braci myśliwskiej powiatu tucholskiego, za okazane dobre chęci przy podniesieniu hodowli psa dowodnego, a tymsamym podniesienie etycznego poziomu polowań.

Równocześnie zwrócił się z apelem do wytężonej pracy nad wychowaniem i należytym ułożeniem psa, bo tylko dobrze ułożony pies daje myśliwemu zadowolenie i pożytek.

Stefan Orlikowski.
leśniczy.

Sprawozdanie z uroczystości 25-lecia PZŁ w Ostrowiu Wlk.

Oddział PZŁ w Ostrowiu Wlk. obchodził w dniu 8 VIII 48 uroczyście 25-lecie powstania Polskiego Związku Łowieckiego. Uroczystości odbyły się w malowniczej miejscowości letniskowej w Antoninie, według programu:

1) nabożeństwo mszalne z kazaniem w kaplicy zamkowej, celebrowane przez podłowczego ks. dziekana Władysława Lisa z Droszewa;

2) złożenie raportu łowczemu powiatowemu ob. inż. Antoniemu Preibiszowi, przez podłowczych powiatu;

3) uroczysta akademia w parku zamkowym;
  a) powitanie gości i myśliwych,
  b) uczczenie pamięci zmarłych członków PZŁ,
  c) referat: Historia PZŁ, — łowczy powiatowy inż. Antoni Preibisz,
  d) pieśń myśliwych,
  e) deklamacje wykonane przez 10-letniego Władzia Nowackiego i 6-letniego Władzia Ławrynowicza;

4) strzelanie do rzutków i do dzika ruchomego o nagrody;
5) wspólny obiad;

6) zabawa taneczna i dalszy ciąg strzelania.

W uroczystościach wzięli udział przedstawiciele władz: starosta powiatowy, Jerzy Chrzczonowicz, kierownik pow. Urzędu Bezpieczeństwa, organizacje polityczne, społeczne i sportowe, oraz liczni goście i myśliwi.

W strzelaniu do rzutków nagrody zdobyli:

1) leśn. Kubis Stefan (9/10),
2) Bąkiewicz Miłosz (7/10),
3) leśn. Błaszczyk Kazimierz (7/10),
4) inż. Preibisz Antoni (6/10),
5) Kowalski Antoni (6/10) — nagroda pocieszenia.

W strzelaniu do dzika w biegu z broni małokalibrowej, nagrody uzyskali:

1) podłowczy Błoch Józef (29/30),
2) podłowczy Błaszczyk Kazimierz (29/30),
3) leśniczy Witoń Stanisław (29/30).



Uczestnicy obchodu 25 lecia PZŁ w Ostrowiu Wlk.

Komunikat Pow. Rady Łow. w Nysie

Kol. Jan Podgórny, łowczy powiatowy w Nysie, wprowadził praktyczny sposób informowania członków PZŁ swego okręgu, w postaci rozsyłania okresowo pocztówek drukowanych, a zawierających wszelkie aktualne wskazówki i informacje.

Komunikat listopadowy poświęcony jest głównie eksportowi zagranicę zajęcy, podaje przeto szczegółowy sposób przygotowania zajęcy do eksportu oraz dostawy ich na st. Wrocław Główny. Równocześnie Komunikat przypomina o terminach egzaminów, wymaganych do przyjęcia do Związku w 1949 r., o wpłaceniu do 20 grudnia składki członkowskiej w wysokości 1200 zł. za r. 1949, o zwrocie ładunków za ubitego włóczącego się kota w ilości 4, psa—3, gołębiarza—3, krogulca—2, oraz za wronę i srokę — po 1 ładunku, o obowiązku pozostawienia bez opolowania 1/3 obszaru łowieckiego itd.



Wędrówki ptaków"— Roman Wojtusiak, Kraków, 1948, str. 31, wydawnictwo „Wiedza Powszechna".

Zjawisko wędrówek ptaków, znane wszystkim, nie jest dotąd wyjaśnione w całości. Chcąc je oświetlić w pełni, potrzebna jest współpraca warstw jak najszerszych i to w skali międzynarodowej, gdyż wędrówki odbywają się na obszarze całej niemal kuli ziemskiej. Zainteresowanie tym zagadnieniem sprawia, że coraz więcej ukazuje się prac poświęconych wędrówkom ptaków.

W numerze 5/1947 Łowca Polskiego, podaliśmy streszczenie pracy pod takim samym tytułem, prof. J. Domaniewskiego. Autor drugiej broszury, p. R. Wojtusiak, podaje dalsze szczegóły, które tu przytaczamy, a jeżeli będą one nawet cześciowym powtórzeniem rzeczy już omówionych, to nie ma w tym szkody, gdyż każde spostrzeżenie daje nowe oświetlenie przedmiotu.

Do wędrówek w cieplejsze okolice na okres zimy zmuszone są przede wszystkim ptaki, żywiące się owadami, których w porze zimowej brak, a więc większość ptaków śpiewających, jaskółki, jeżyki, muchołówki, kukułki, dudek itp.; następnie ptaki, których głównym pożywieniem są gady i płazy, przesypiające zimę w ukryciu, a więc bociany, żurawie itp., wreszcie ptaki wodne, czerpiące pożywienie z wody, która na zimę zamarza, jak: łabędzie, gęsi, kaczki, czajki itd.

Zależność wędrówek ptaków od klimatu sprawia, że np. słonka, będąca u nas typowym ptakiem wędrownym, jest w Anglii ptakiem osiadłym, gdyż dzięki ciepłym prądom golfstromu, posiada Anglia w zimie łagodny klimat oceaniczny.

Zimowisko naszych ptaków znajduje się w najrozmaitszych okolicach starego świata. Łabędzie, gęsi, nury z Polski spędzają zimę nad wodami Danii, Anglii, i Francji. Polskie szpaki i kwiczoły zimują w Hiszpanii i Afryce, skowronki—w Afryce północnej, jaskółki — w Afryce wschodniej, a bociany — w Afryce południowej, głównie w Rodezji i w Kraju Przylądkowym.

Nawet wrony, gawrony i kawki — tak pospolite u nas w porze zimowej — odlatują na zimę do południowo-zachodnich Niemiec, a nawet do Francji, a na ich miejsce przybywają do nas obce ptaki z krajów północnych. Polska jest również zimowiskiem dla takich ptaków północy, jak jemiołuszki, śnieguły lub gile, a w pewnych wypadkach także dla kulonów (kulig wielki — Numenius arquatus).

W obszarach wysokogórskich daje się zauważyć jesienią wędrówkę niektórych ptaków w okolice niższe, cieplejsze, na wiosnę zaś powrót do gniazdowisk wśród wielkich wysoczyzn. Takie wędrówki w kierunku pionowym widzimy u tatrzańskiego płochacza skalnego (Prunella collaris) oraz u ptaków, zamieszkujących Himalaje.

Jeżeli rekordzistą, co do długości przelotu, jest u nas bocian, trasa którego do Afryki południowej wynosi 10 tysięcy km, to biją go siewka wschodnio-syberyjska oraz szlamnik rdzawy (Limosa lapponica), które

z tundr wschodniej Syberii przelatują na zimę do Nowej Zelandii, pokonując 15 tysięcy km. Takiż przelot robi wójcik północno-europejski (Phylloscopus borealis), zimujący na Półwyspie Malajskim, oddalonym od miejsc gniazdowania o 11 tysięcy km w prostej linii. A pamiętać należy, że mały ten ptaszek waży zaledwie 8 gramów.

Zasadniczy kierunek przelotów — z północy na południe lub odwrotnie — ulega dużym odchyleniom. Daje się to wytłumaczyć koniecznością omijania naturalnych przeszkód, jakimi dla lecącej rzeszy ptasiej mogą być góry lub morza. Wysokie pasma górskie są albo omijane zupełnie, lub też ptaki wędrowne przebywają je, lecąc dolinami rzek ku przełęczom. Większość naszych wędrowników skrzydlatych omija Karpaty, obierając drogę przez Bramę Morawską, pomiędzy Karpatami a Sudetami. Ale niektóre wykorzystują przełęcze, co powoduje w okresie przelotów zagęszczenie ptaków w okolicach Nowego Targu lub w dolinie Skawy.

Zbyt długie przeloty nad morzem są skracane przez obiór drogi wzdłuż brzegów morskich i wykorzystywanie wszelkich wysp czy półwyspów. Tym się tłumaczy zagęszczenie przelotów wzdłuż Mierzei Helskiej i Kurońskiej oraz na wyspach: Helgoland na Morzu Północnym, Fair — pomiędzy Szetlandami a Orkejami oraz Wyspą Wężową na Morzu Czarnym.

Okoliczność ta wpływa w dużym stopniu na ustalenie się pewnych szlaków ciągu ptaków. W Europie da się wyróżnić pięć takich szlaków. Jeden z nich prowadzi ponad Półwyspem Iberyjskim, poprzez Cieśninę Gibraltarską do Afryki zachodniej, drugi — ponad Półwyspem Apenińskim i Sycylią do Tunisu, trzeci — poprzez Europę południowo-wschodnią i Bosfor do Azji Mniejszej, a następnie wzdłuż wybrzeża Syrji i Palestyny, poprzez kanał Suezki do Egiptu. Mniej uczęszczane są dwa dalsze szlaki: z południowej Francji i północnych Włoch poprzez Korsykę i Sardynię do Tunisu oraz przez Półwysep Bałkański i Kretę do Egiptu. Przyczyną tego jest konieczność przebycia dużej odległości nad morzem.

W Polsce dadzą się wyróżnić trzy główne drogi ciągu ptaków. Jedna prowadzi wybrzeżem Bałtyku na zachód i południowy zachód. Ptaki lecące tym szlakiem albo pozostają na zimę w Europie zachodniej, albo lecą dalej przez Gibraltar do Afryki zachodniej. Drugi szlak biegnie wzdłuż Wisły i poprzez Bramę Morawską przechodzi nad Dunaj. Trzeci prowadzi doliną Odry i łączy się w Bramie Morawskiej z poprzednim.

Do wyboru drogi przelotów wzdłuż brzegów morskich oraz wzdłuż wielkich rzek przyczynia się okoliczność, iż tutaj ptaki mogą wykorzystać prądy powietrza, wznoszące się w tych okolicach w górę. Ziemia rozgrzewa się pod wpływem promieni słonecznych silniej, aniżeli woda. Znajdujące się nad nią powietrze ogrzewa się również i jako lżejsze wznosi się ku górze. Odwrotnie jest w nocy. Ląd ochładza się szybciej niż woda i na skutek tego wznoszące się prądy powietrza występują w nocy nad wodami. Ptaki, znalazłszy się nad takim terenem, mogą zarówno w dzień jak i w nocy wykorzystać prądy wstępujące, oszczędzając własnych sił.

Z tych utartych szlaków korzystają nie wszystkie ptaki wędrowne. Niektóre, zwłaszcza zamieszkujące kraje nizinne o powierzchni równej, odlatują frontem szerokim. Tam też zjawisko przelotu zaznacza się mało wyraźnie i po prostu, pewne ptaki znikają w jesieni, a zjawiają się znowu na wiosnę. Tak jest u nas ze skowronkami i ziębami.

Pora dobowa przelotu jest rozmaita. W dzień lecą zwykle: jerzyki, wrony, łabędzie, bociany oraz drapieżce, nocą — większość ptaków śpiewających. Gęsi, czajki, zięby mogą ciągnąć zarówno w dzień jak w nocy. Wysokość, na jakiej odbywa się przelot, jest również zmienna. Przeważna część gatunków leci nisko, na wysokości kilkunastu metrów ponad ziemią, ale przy dobrej pogodzie ptaki większe unoszą się wyżej, nigdy jednak nie przekraczają 1000—1500 m. Również szybkość lotu nie jest zbyt duża, jak to sądzono przed tym, i nie przekracza 50—70 km na godzinę. W ciągu dnia bocian robi około 200 km, ptaki mniejsze—do stu kilkudziesięciu kilometrów. Resztę czasu spędzają ptaki na odpoczynku i na zdobywaniu pokarmu.

Większość ptaków odbywa wędrówkę gromadnie, tworząc nieraz stada, liczące setki tysięcy okazów. Ale np. kukułka, dzieżby i podróżniczek lecą samotnie.

Wszystkie te cechy wędrówek ptasich zdobyto długoletnią obserwacją oraz stosowaniem obrączkowania ptaków, wprowadzonego w 1899 r. przez duńskiego badacza Mortensena. Ale oczekuje jeszcze wyjaśnienia szereg zjawisk z tym związanych. A więc pytanie, w jaki sposób znajdują ptaki wędrowne odpowiednią dla swego gatunku drogę. Można by przypuszczać, że ptaki młode uczą się trasy od swych rodziców. Są jednak gatunki, jak np. szpak lub gąsiorek (Lanius colurio), u których najpierw udają się na wędrówkę młode okazy, a potem dopiero stare. Młode kukułki, wylęgłe i wychowane w cudzym gnieździe, również nie mogą nauczyć się drogi od swych rodziców, których nie znają, a w dodatku odlatują nie gromadnie, a samotnie.

Potwierdzenie niezwykłej zdolności orientacyjnej ptaków wędrownych przyniosły badania, w których ptaki, schwytane przy gnieździe z młodymi, wywożono na rozmaite odległości. Okazało się, że wracały one do gniazda bez trudności. Jaskółki np., wywiezione z pod Krakowa do Gdyni albo bociany wywiezione z Polski do Palestyny — powróciły do gniazd po kilku, względnie kilkunastu dniach.

Dla wytłumaczenia tego zjawiska, autor p. R. Wojtusiak, przyjmuje hipotezę, że zwierzęta te muszą widzieć promieniowanie podczerwone, dla oka ludzkiego niewidzialne. Promieniowanie to wysyłane jest przez każde ciało ogrzane i posiada właściwość przenikania przez mgłę. Ptaki, posiadające zdolność widzenia podczerwień, kierowały by się podczas wędrówek jesiennych ku okolicom cieplejszym, które, jako zawierające dużo tego promieniowania, przedstawiały by się im jaśniej niż chłodne okolice północne. Na wiosnę leciały by odwrotnie — z okolic jasnych w ciemniejsze.

Również wymaga ściślejszego wytłumaczenia, skąd się bierze popęd do podjęcia wędrówki. Mówiliśmy wyżej, że wędrówki ptaków są następstwem zmian klimatycznych, powodujących brak pożywienia. Ale jerzyki np. opuszczają ojczyste strony, kiedy lato jest jeszcze w pełni, bociany odlatują w połowie sierpnia, mimo, że żab i koników polnych jest jeszcze w bród. Dalej, dlaczego te same bociany lub jaskółki nie zadawalają się dostaniem się w ciepłe okolice, leżące nad Morzem Śródziemnym, lecz lecą dalej, aż do południowego krańca Afryki?

Próba wytłumaczenia zjawiska wędrówek ptaków, jako następstwa olbrzymich zmian klimatycznych, na skutki których zwierzęta zmuszone były—w ucieczce przed nasuwającym się lądolodem — przesuwać się na południe, nie rozwiązuje zagadnienia, bo odziedziczony atawizm powinien również podlegać zmianom pod wpływem nowych warunków życia.

To też pogodzić się trzeba z myślą, że zagadnienie wędrówki ptaków nie jest jeszcze w pełni rozwiązane i oczekuje dalszych prac badawczych.

J. Gieysztor.

SPROSTOWANIE

W artykule „Jeszcze o walce z kłusownictwem", zamieszczonym w Nr 11-tym Łowca Polskiego na str. 22 i 23, przez błąd przepisywacza numeracja artykułów Kodeksu Karnego została mylnie podana na 260 i 261. Należy we wszystkich wypadkach zmienić ją na 160 i 161.

Wiadomości z terenu

Z RZESZOWSKIEGO

Nadleśnictwo Głogów miało przed wojną piękny zwierzostan. O tem, jak się przedstawia on dziś, świadczy sprawozdanie łowczego powiatowego, kol. W. Cichockiego, z polowania w kniei „Przewrotne" w dniu 3 grudnia. Na 18 strzelb wzięto 1 lisa i 11 zajęcy. Zarówno lis, jak i większość ubitych zajęcy miało druty na szyjach, zerwane z wnyków. Tłómaczy to dostatecznie spadek ilościowy zwierzyny, ale świadczy zarazem o zupełnym braku ochrony i walki z wnykarstwem ze strony braci myśliwskiej.

Klub myśliwych w Jutrosinie

Klub w Jutrosinie zorganizował się na terenie gminy Jutrosin w powiecie rawickim przed 30 laty i liczy obecnie 24 członków. Wszyscy członkowie Klubu są członkami P.Z.Ł. Zebrania Klubu odbywają się raz w miesiącu, na których wygłaszane są referaty i odczyty z dziedziny myślistwa i hodowli zwierząt.

Ostatnio tradycyjnym zwyczajem uczczono dzień św. Huberta. W dniu tym przeprowadzono polowanie sposobem pędzenia na terenie około 550 ha (częściowo zalesionym), które dało następujący wynik: 35 kotów i 1 gęś. Wieczorem urządzono wspólną kolację oraz wieczorek myśliwski. Na program wieczorku złożyło się: gawędy myśliwskie, odczyty, oraz część artystyczna. W czasie wieczorku przeprowadzono zbiórkę pieniężną, która dała w efekcie 4.300 zł, którą to kwotę skarbnik Klubu przekazał na konto odbudowy Warszawy.

W miłym i serdecznym nastroju uczestnicy wieczorku rozjechali się do domu.

Rybacki Teodor

KALENDARZYK MYŚLIWSKI

Stosownie do rozporządzenia Prezydenta R. P. z dn. 3 grudnia 1927 r., uzupełnionego rozporządzeniem Ministra Rolnictwa i Reform rolnych z dn. 14 maja 1947 roku, dozwolone jest polowanie na następujące zwierzęta łowne:

	w grudniu 1948 r.	w styczniu 1949 r. do 15 stycznia
zające	„	„
dziki	„	„
króliki	„	„
lisy	„	„
wilki	„	„
wiewiórki	„	„
kuny-kamienki	„	„
tumaki (kuny leśne)	w grudniu	w styczniu
tchórze i łasice	„	„
wydry	„	„
bażanty koguty (w woj. rzeszowskim, białostockim, łódzkim, wrocławskim)	„	„
słonki	„	„
dzikie kaczory	„	„
„ kaczki	„	„
„ gęsi	„	„
„ gołębie	„	„
jastrzębie gołębiarze	„	„
krogulce	„	„
wrony siwe i sroki	„	„

Dodatek do Łowca Polskiego

„Spis artykułów zamieszczonych w 1948 r."

Zeszyt pierwszy (styczeń):

Zeszyt drugi (luty):

Kalendarzyk Myśliwski,

podany w bieżącym numerze N 12 (961) „Łowca polskiego" na str. 26, wobec pomyłki zecerskiej prostujemy następująco: w grudniu 1948 r. i styczniu 1949 r. – **wolno jest polować**: na dziki, króliki, lisy, wilki, wiewiórki, kuny kamionki, kuny leśne, tchórze i łasice, wydry, dzikie kaczory. Bażanty w województwach: łódzkim, szczecińskim, poznańskim, śląsko-dąbrowskim, wrocławskim. Zające w grudniu 1948 r. i 1 do 15 stycznia 1949 r.

Zeszyt dziewiąty (wrzesień):

Zeszyt dziesiąty (październik):

Zeszyt jedenasty (listopad):

Zeszyt dwunasty (grudzień):

DO CZYTELNIKÓW ŁOWCA POLSKIEGO

Mamy za sobą trzy lata wydawnictwa wznowionego po drugiej wojnie światowej „Łowca Polskiego". Pozostawiamy czytelnikom ocenę naszego pisma co do treści i formy, ze swej strony podkreślić jedynie chcemy, że dążeniem Redakcji było osiągnięcie przez „Łowiec Polski" poziomu przedwojennego. Jeżeli to nie całkowicie się nam udało, to znaczną część winy ponoszą warunki okresu powojennego. W każdym razie stwierdzić możemy z zadowoleniem, że pismo nasze przoduje w szeregu współczesnych czasopism łowieckich kontynentu europejskiego zarówno pod względem zawartości, jak i szaty zewnętrznej.

Ten sam trzyletni okres mamy za sobą w zakresie nakładu i rozpowszechnienia „Łowca Polskiego". Rozwój nakładu obrazują następujące liczby: w 1946 r.—od 3 tys. do 12 tys. egzemplarzy, w 1947 r.—od 15 tys. do 25 tys. egzemplarzy, w 1948 r.—od 25 tys. do 33 tys. egzemplarzy. Ten potężny wzrost nakładu, przystosowany do napływu członków Polskiego Związku Łowieckiego, świadczy o wzroście naszej organizacji i jej popularności.

Ale on też powoduje trudności przy każdorazowym zwiększeniu nakładu i przy dostarczeniu pisma do rąk czytelnika. Wysokość nakładu określana jest według ilostanu członków Związku. Przy jego wzroście należy uzyskać zezwolenie odnośnych władz, a następnie otrzymać odpowiednio zwiększony przydział papieru, co powoduje zrozumiałą zwłokę. A ponadto nowoprzybyli członkowie muszą się liczyć z okolicznością, że zeszytów poprzednich pisma, wydanych w ilościach mniejszych, może dla nich niewystarczyć.

Druga trudność, wypływająca z dużego ilościowo nakładu, związaną jest z ekspedycją pisma. Przy dzisiejszej ilości 33 tys. egzemplarzy ekspedycja „Łowca Polskiego", zatrudniająca 5 osób, wymaga 20 dni pracy, gdyż każdy zeszyt powinien być ujęty w opaskę, zaopatrzony w adres i odpowiednią numerację, posegregowany podług szlaków pocztowych, połączony w paczki według miejsc przeznaczenia, ostemplowany i zdany na pocztę. Wskutek niedość dbałego układu wykazu członków przez kolegów łowczych powiatowych, około 10% wysłanych egzemplarzy zostaje zwrócona przez pocztę i wymaga przeprowadzenia korespondencji i ponownej wysyłki.

Jeżeli się uwzględni ponadto, że większość członków zwleka z opłatą składki i z odnowieniem legitymacji członkowskiej aż do jesieni, tj. do czasu otwarcia sezonu myśliwskiego, to jasnem się staje, że zaopatrzenie członków w oficjalny organ Związku—źródło informacyj i wiedzy łowieckiej — nie może być zadawalniające. Aby temu stanowi rzeczy zaradzić, władze naczelne PZŁ wydały następujące zarządzenia, które będą obowiązywały z początkiem 1949 r.

1. **Składka członkowska**, stanowiąca dla wszystkich kategoryj myśliwych — 1200 zł. (słuchacze wyższych uczelni mogą uzyskać 50% zniżki w formie dotacji Wojewódzkiej Komisji Młodzieżowej), powinna być uiszczona **do końca marca 1949 r.** pod rygorem zawieszenia w prawach członka do końca roku.
2. Składkę członkowską **należy wpłacać wyłącznie** bądź bezpośrednio do kasy odnośnej **Wojewódzkiej Rady Łowieckiej**, bądź też na jej konto w PKO.
3. Część składek na „Łowiec Polski", Wojewódzka Rada Łowiecka przekazuje na konto Polskiego Związku Łowieckiego, zaś **wykaz nazwisk członków**, którzy składkę opłacili, **Wojewódzka Rada Łowiecka przesyła do Administracji „Łowca Polskiego"**, nie rzadziej, niż raz na tydzień.
4. O wszelkich **zmianach adresów** członków, zamieszkałych na terenie Województwa, winna Wojewódzka Rada Łowiecka zawiadomić niezwłocznie Administrację „Łowca Polskiego", z dołączeniem 50 zł. na koszty z tem związane.

Ale aby te celowe zarządzenia, centralizujące sprawę przyjmowania i rejestracji członków PZŁ w Wojewódzkich Radach, okazały się skuteczne—nieodzowne jest, aby koledzy — członkowie sami zechcieli się skrupulatnie do nich zastosować, wpłacając do Wojewódzkich Rad składki jaknajwcześniej, **jeszcze w styczniu**,— celem zapewnienia sobie otrzymania kompletu pisma — podając adresy dokładne i uprzedzając niezwłocznie Rady Wojewódzkie o ich zmianach (z dołączeniem 50 zł.).

Redakcja.

Druk i klisze — Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 1626. — XII. 48. 33.000. — B—65470

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.

Wydawca — Polski Związek Łowiecki.